

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 10. Warszawa, dnia 26 Lutego (9 Marca) 1876 roku. Rok 12.

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu	na prow. w Cesar. i Królest.
rocznie . . . . . rs. 6 k. „	rocznie . . . . rs. 8 k. —
półrocznie . . . „ 3 „ „	półrocznie . . . . rs. 4 k. —
kwartalnie. . . „ 1 „ 50	kwartalnie . . . . . . rs. 2 k. —
miesięcznie. . . „ „ 50	w Krakowie rocznie z stemplem dzienn. Złr. 10. w Galicyi Złr. 11 cent. 50. w Prusach roczn. 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT
NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w kantorze drukarni Wydawcy J. Korzeniewskiego, St.-Jerska, 12; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni Gebethnera i Spółki, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

ZIEMIA PRZED POTOPEM.

(dalszy ciąg).

Epoka drugorzędowa.

W czasie *epoki przechodniej*, ziemia należała do jestestw żyjących w morzu, a mianowicie do ryb i skorupiaków — w ciągu zaś epoki drugorzędowej, płazy obejmują ją w posiadanie. Zwierzęta te zdumiewać nas będą kolosalnym ogromem ciała, i niepospolitym rozrodem, z tego względu też nazwaćbyśmy je mogli panami owoczesnego świata. Z drugiej strony, roślinność tak wspaniała w okresie węglowym, utraca w części swą siłę, a w skutek prawa równowagi, przejawiającego się w całej historyi naszej planety, królestwo zwierzęce dosięga wybitnego rozwoju kosztem państwa roślinnego. Geologowie dzielą epokę drugorzędową na trzy okresy, to jest: *tryasowy*, *jurasowy* i *kredowy*, w których z kolei rozpatrywać się będziemy.

Okres tryasowy.

Nazywamy ten okres *tryasowym* dla tego, że reprezentują go trzy wielce wyraziste utwory skalne, to jest: *piaskowiec pstry*, *wapień muszlowy* i *margiel pstry*, czyli tak zwany *kajper* (keuper). Z trzech tych utworów, dwa pierwsze złożone z piaskowca pstrego i wapienia muszlowego należą do *podokresu muszlowego*. Kajper zaś czyli pstry margiel odnosimy do *podokresu solodajnego*.

W tej nowej fazie rozwojowej naszej planety, jestestwa organiczne różnią się wielce od cechujących *epokę przechodnią*. Trylobity znikły, mięczaki głowopławe i ramionowce są nieliczne, równie jak ryby kostołuskie, których panowanie tu się kończy, a natomiast rozpoczyna *ammonitów*, dochodzących w okresie następnym najwyższego szczebla w organizacyi. Podobnym zmianom uległa roślinność. Skrytopłciowe epoki przechodniej, przejawiają budowę najdoskonalej rozwiniętą—w epoce zaś drugorzędowej są bardzo nieliczne, a w zamian rośliny szyszkowe przedstawiają pewien znaczący postęp ustrojowy. Niektóre rodzaje zwierząt lądowych znikły, ustępując miejsca innym, nowym przekształceniom w organizacyi. W epoce drugorzędowej napotykamy po raz pierwszy żółwia, zamieszkującego morza i pobrzeża jezior. W tymże czasie płazy jaszczurowate, dochodzą niepospolitego stopnia rozwoju—są jakby poprzednikami owych kolosalnych jaszczurów jurasowych, których ogrom przejmuje nas podziwem, a potworność kształtów przeraża. Rozpatrzmy się bliżej w obu podokresach, stanowiących wiek tryasowy.

Podokres muszlowy.

Morza w podokresie *muszlowym*, tak zwanym od niezliczonych mas muszli, mieszczących się w warstwach doń należących, obejmowały oprócz mnóstwa mięczaków, jedenaście rozmaitego rodzaju płazów jaszczurowatych i żółwiów, oraz sześć nowo wytworzonych rodzajów ryb pancernych.

Przystąpimy najpierw do mięczaków, zamieszkujących owoczesne morza. Do najwięcej charakterystycznych muszli tych mięczaków należą: *Natica Gaillardoti*, *Rostellaria antiqua*, *Lima lineata*, *Ceralites nodosus*, muszla wielokomórkowa, *Avicula socialis*, *Terebratula communis*, czyli muszla przewiertki popolitej, oraz muszla Myszela z gatunku *Mytilus eduliformis*, wreszcie *Myophoria Guldfussii* i *Possidonia minuta*.

Cerality wielokomórkowe, tworzyły jakby przejściowe ogniwo do ammonitów, tych *rogów Ammona*, które odgrywały tak ważną rolę w świecie starożytnym, a dziś całkiem znikły z powierzchni ziemi.

Myszele należące do podokresu muszlowego, były mięczakami bezgłowemi, jak współczesne nam małże (Conchifera), posiadały muszlę trójkątnawą z haczykami ostremi, za pomocą których przyczepiały się do skał podwodnych. Wiele gatunków tych małży zamieszkuje dzisiejsze morza.

Lima myophoria, *Possidonia* i *Avicula* były mięczakami bezgłowemi, należącemi do tegoż podokresu. Rodzaje *Natica* i *Rostellaria* reprezentują nam mięczaki z rzędu *ślimaków* czyli *brzuchopełzów* (gasteropoda).

Z jeżokorów (Echinodermata) wymieniamy: lilię morską (Encrinus liliiformis vel moniliformis), której szczątki w pewnych miejscowościach tworzą pokłady ziemne. Do ślimaków należy też odnieść *Avicula subcostata*, *patella lineata*, zwaną w naszym języku zoologicznym *Czaszołką* i *Myophoria pesanseris*.

Nadmienić tu winniśmy, że w skutek obecności niektórych rodzajów właściwych epoce przechodniej, i w niej bezpowrotnie znikają-

cych, oraz przejawu kilku zwierząt cechujących warstwy jurasowe, fauna muszlowa zdaje się być przejściową między jednym a drugim okresem. Na pobrzeżach mórz żyły wówczas płazy z rodzajów *Phytosaurus* i *Capitosaurus* oraz ryby z rodzajów *Sphaerodus* i *Pienodus*.

Nie będziemy tu rozwodzić się nad żółwiami lądowemi, które w tym okresie wystąpiły pierwszy raz na widownię życia, wypada nam jednak zająć się olbrzymim płazem, jaki przez długi czas był przedmiotem sporów między geologami, wygłaszającemi o nim najrozmaitsze opinie. W warstwach gliniastych okresu muszlowego, znachodzimy często ślady pięciopalczastych stóp zwierzęcia, podobne układem ręce ludzkiej.—Ślady te należą do płaza, którego członki przednie były dłuższemi od tylnych. Ze szczątków tego zwierza, którym prawdopodobnie był kolosalnych wymiarów potwór żabowaty, znaleziono dotąd tylko głowę, miednicę i część łopatki. Zdaje się, że głowa jego nie była nagą, lecz zaopatrzoną pancerzem kostnym, w szczękach zaś tkwiły zęby stożkowate, wielce silne i wielce złożonego ustroju.

To *Labyryntodon*, któremu paleontologowie nadają jeszcze nazwę *Cheirotherium*.

Drugim niemniej olbrzymim płazem tryasowym, stanowiącym jakby ogniwo przejściowe do kolosalnych jaszczurów okresu jurasowego, był *Notosaurus*, rodzaj morskiego krokodyla. W warstwach należących do podokresu muszlowego, znachodzimy ślady stóp podobne do pozostawianych przez ptaki brodzące po mokrym piasku.—Ślady te przez pewien czas naprowadzały przyrodników na wniosek, że ptaki już w tym wieku geologicznym zaczęły się przejawiać. Dziś wszakże nie możemy przyjmować tego poglądu. W rzeczy samej nie znaleziono dotąd w pokładach okresu muszlowego, żadnego szczątka skieletu ptaka, ślady więc które uzmysławiamy czytelnikowi w drzeworycie, należały prawdopodobniej do jakiegoś nieznanego nam płaza (fig. 17).

Brongniart mieści we florze okresu muszlowego, pierwszy występ roślin dwuliściennych nagonasiennych. Charakterystyczną florę owoczesną, tworzyły dość liczne paprocie należące do rodzajów obecnie znikłych, a nawet już nie napotykanych w późniejszych utworach geologicznych. Paprocie te były reprezentowane głównie przez dwa rodzaje: *Anomopteris* i *Crematopteris*. *Skrzypy* rzeczywiste w okresie muszlowym są dość rzadkie, natomiast *kalamity* a raczej *kalamodendrony*, rozradzały się wówczas do zbytku.

Przedstawicielkami roślin nagonasiennych w tej epoce, są drzewa szyszkowe z rodzajów *Wolcya* i *Haidengera*, których liczne gatunki napotykamy w warstwach okresu muszlowego. Do najwybitniejszych owoczesnych gatunków roślinnych, zaliczamy: *Neupteris elegans*, *Calamites arenaceus*, *Voltzia heterophylla* i *Haidingera speciosa*.

Haidingerye należały do roślin jodłowych, lecz w ustroju różniły się wielce od drzew iglastych nam współczesnych—liście miały szerokie, podobne dzisiejszym *dammarom* i prawie dachówkowate, jak to ma miejsce u sosny andzkiej, czyli tak zwanej araukaryi. Owoc haidingeryi był stożkowaty, pokryty łuskami okrągłemi, dachówkowatemi, i zawierał w sobie jedno tylko ziarnko nasienne.

Wolcyé tworzyły po większej części lasy w podokresie muszlowym—przypominały ustrojem cyprysy dziś krzewiące się na Wschodzie. Liście miały naprzemianległe, spiralne, pięcio lub ośmiorzędowe, bezogonkowe, owoce stożkowate, podłużne, pokryte łuskami lekko dachówkowatemi, klinowatemi, najczęściej opatrzonemi trzema lub pięcioma płaskiemi klapami. Lecoq w *Jéografii botanicznej*, w tych słowach kreśli roślinność starożytnego świata tryasowego: „W czasie powolnego osadzania się w wodach, regularnych warstw pstrych piaskowców i margli, przepyszne paprocie jeszcze się krzewiły. Rozmaite gatunki *Protopteris* i majestatycznych *Neuropteris*, tworzyły lasy rozległe, w których pleniły się *Crematopteris typica*, *Anomopteris Mongeotii*, i śliczne krzewy *Trychomanites myriophyllum*. Drzewa szyszkowe w tej epoce dochodzą przedziwnego rozwoju i stanowią ozdobę lasów. Wytworne rośliny jednoliścienne, przypominające kształtem rozradzające się dziś pod równikiem, wystąpiły tu prawdopodobnie po raz pierwszy, jako to: *Yuccites vogesiacus* tworzące w owym czasie roślinność gęstą i rozległą. Obok tych roślin napotykamy w tej epoce trzy wykwintne krzewy: *Nilsonia Hogardi*, *Ctenis Hogardi* i *Zamię wogeską* (Zamia vogesiacus), które wraz z sagowcami łączącemi z powagą drzew szyszkowych wytworność palm, przyozdabiały ziemię nowemi kształty i rozradzały się płodnie.

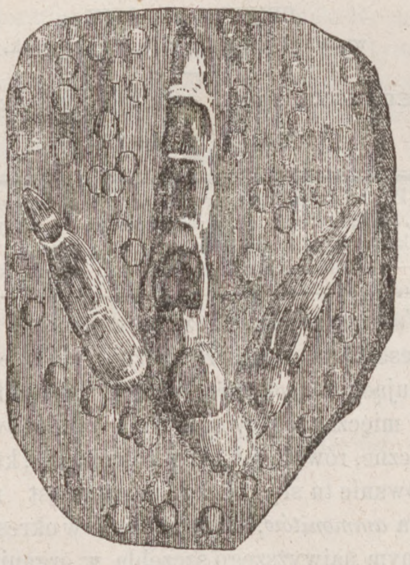


fig. 17. Ślady stóp nieznanego płazu tryasowego, oraz wyciski kropli deszczowych.

Na gruncie leśnym rozwijały się rośliny trawiaste, nurzając w wystygłych bagniskach. Z flory tej najwybitniejszemi reprezentantami były: *Oetheophyllum speciosum*, krzew zbliżony organizacyą zarazem do widłaków i roślin pałkowatych (Typhaceae), *Oetheophyllum stipulare* i *Schizoneura paradoxa*, tak nazwana przez Schimpera, roślina dość dziwacznej budowy. Z tych form pierwotnych, czerpnęło życie państwo roślin dwuliściennych z nagiem nasieniem, (Gymnospermae) a następnie przejawiły się rośliny skrytonasienne (Angiospermae), złożone z dwóch rodzin, to jest: z drzew szyszkowych i sagowców. Nagonasienne zrazu wielce obfite, połączyły się ze skrytopłciowemi (Cryptogamae), komórkowatemi, istniejącemi jeszcze na ziemi, jakkolwiek z jej powierzchni już ustępowały. Po nich przejawiły się nieśmiało sagowce, i rozrosły wkrótce szeroko w państwie roślinnem.“

Florę i faunę właściwą podokresowi muszlowemu, przedstawi nam drzeworyt zamieszczony w następnym numerze (fig. 18).

Obraz ten przenosi nas na brzegi oceanu, wstrząsanego straszliwym huraganem. Odpływ morza odsłania naszym oczom zwierzęta wodne, z pośród których rozpoznajemy piękne liliowce (enkryny) osadzone na długim, giętkim i członkowatym trzonie, a dalej myszele (Mytilus) i przewiertki (telebratula). Olbrzymi płaz rozciągnięty na skale, czyha w pogotowiu na zdobycz: to *Notosaurus*. Opodal pełzają inne płazy nierównie mniejsze, do tegoż rodzaju należące. Na wzgórzu wyniesionem na pobrzeżu morskiem, krzewią się przepyszne drzewa właściwe podokresowi muszlowemu, a mianowicie haidingera, z szerokim trzonem i pochylonemi gałęziami strojnemi w liście, przypominająca całą swą postacią dzisiejsze cedry. Na drugim planie z pośród zieleni wychylają się wytworne wolcye. Płazy przebywające w pierwotnych lasach, reprezentuje nam *Labyryntodon*, zmierzający ku morzu. Pozostawia on na piasku pobrzeża ślady swych stóp, przechowane do dni naszych w skutek skamienienia piasków. Ślady te przez długi czas były przedmiotem dociekań uczonych, poszukujących typu zwierzęcia do którego należały.

Wypada nam wskazać skład mineralogiczny i rozmieszczenie jeograficzne warstw, osadzonych przez morza w podokresie muszlowym. Pokłady te składają się z *pstrego piaskowca*, zawierającego w sobie mnóstwo szczątków roślinnych, a bardzo mało zwierzęcych, między któremi prawie zawsze, znajdują się wyciśnięte ślady stóp Labyryntodona. Drugim składnikiem owych warstw, jest wapień ścisły, najczęściej szary lub czarniawy, przekładany naprzemian marglem i gliną, przejętemi takiem mnóstwem muszli, że temu utworowi nadano niemiecką nazwę *Muschelkalk*, to jest wapienia muszlowego.

Warstwy muszlowe napotykamy we Francyi, w Pireneach, około środkowego płaskowzgórza w departamencie Var, i na obu stokach Wogezów. Piętro to, przerzyna od północy na południe, w całej długości Anglię Szkocyę i Irlandyę. Przejawia się na niemniej szerokim płacie ziemi, w Niemczech, Belgii, Szwajcaryi, Sardynii, Hiszpanii, Tyrolu, Czechach, Morawii, a wreszcie w Polsce i Rossyi. Orbigny wykrył rozległe przestrzenie wapienia muszlowego, w okolicach górskich rzeczypospolitej Boliwii i w Ameryce południowej. Napotykamy również ten utwór w Stanach Zjednoczonych, w Kolumbii, w Wielkich Antyllach i w Meksyku.

Z wyjątkiem Wogezów, departamentu Var i Czarnego Lasu, gdzie rozpościera się wapień muszlowy, okres ten reprezentowanym jest we Francyi przez pstry piaskowiec. Minerał ten dostarcza w niektórych krajach niemieckich, szacownego materyału budowlanego. Olbrzymie gmachy w prowincyach nadreńskich, a

między innemi katedry gotyckie w Bazylei, Moguncyi, Worms, Spirze i kościoły katedralne w Strasburgu i Fryburgu (w Bryzgowii) zbudowane zostały z ogromnych kamieni pstrego piaskowca. Ciemne barwy tych głazów, odpowiadają przedziwnie poważnemu majestatowi architektury gotyckiej. W Niemczech całe miasta wzniosły się z kamieni brunatno-czerwonawych, wydobywanych z kopalń *pstrego piaskowca*. W Polsce ten minerał znachodzimy wśród gór Kieleckich dewońskiego utworu — wapień zaś muszlowy napotykamy około Dąbrowy i Bendzina, w powiecie Olkuskim, oraz w obwodzie krakowskim, i w górach Tarnowskich Szląska, gdzie utwór ten obfituje nadto w rudy cynkowe, ołowiane i żelazne. d. c. n.

PIĘKNE ZA NADOBNE

PRZYSŁOWIE w 1 AKCIE,

napisał

Lambert-Thiboust.

Osoby: HIPOLIT.
CEZARYNA.

(Scena przedstawia pokój elegancko umeblowany. W głębi drzwi, dwoje drzwi bocznych, na lewo kominek z zegarem, na prawo biurko, przed kominkiem kozetka, przy kozetce fotelik. Przy drzwiach w głębi dwie komody z stojącemi na nich wazami japońskiemi. Na prawo stół nakryty do śniadania).

SCENA I.

HIPOLIT sam.

(Za podniesieniem zasłony Hipolit wchodzi z lewej strony w rannem ubraniu. Ósma godzina rano).

HIPOLIT.

Ta spokojność mnie zabija... Tak! ta spokójność mnie zabija!... A wszystkiemu winien Berlurot.... Trzy miesiące temu spotykam się z nim na ulicy i mówię doń najniewinniej w świecie: „Słuchaj-no Berlurot chcą mnie ożenić“....

„Wielkie rzeczy!“...

„Tak ale panna ładna i ma 80 tysięcy,“ a on mi wtedy na to: „Słuchaj Hipolicie, wiesz że jestem twoim przyjacielem, żeń się ani pytaj — nie takiś już młody mój kochany, żeń się szczerze ci radzę.“ Posłuchałem starego czopa i ożeniłem się z Cezaryną. Ale mówiąc między nami wcale mi się to niepodoba. O! bo to nie to!.... Moja żona wcale nie brzydka.... zaraz ją zresztą zobaczycie... nawet podobno ładna. Jak ją spotkacie na ulicy, z pewnością każdy powie: „A to ci panie szyk“... (zmieniając ton głosu).—Otóż nie, nie... (z naciskiem) ja wam powiadam że nie. Najmniejszego życia.... nawet nie ma własnej woli.... taka gąska zwyczajna... ckliwa... zupełnie jak byś się z owcą ożenił.... Oj żeby to się wróciło tak... no to i cóż... znów spotkam jakiegoBerlurota który mi powie „żeń się“ i ożenię się. I tak pewnego pięknego poranku masz żonę.... a jaka to głupia historya.... Ale cóż robić... klamka zapadła.... bodaj to diabli porwali.... Tak... bo z żoną to nie tak jak z kochanką... Znudziło ci się, mówisz do niej z uczuciem: „czy wiesz moja droga, że takie teraz ciężkie czasy... goły jestem jak święty turecki.... odtąd będziemy żyli tylko naszą miłością... wszak to nam wystarczy — nieprawdaż?“ O! grubo się założę że więcej na oczy jej nie zobaczysz. Ale z żoną to co innego.... Społeczeństwo przykuło cię do niej... możesz robić co ci się podoba ale się od niej nie odczepisz.... chyba żeby ją zabić... ale i to się na nic nie zdało... Przyjdą żandarmi, wsadzą do ciupy a potem... brrrr.... Otóż jakie są skutki małżeństwa w XIX wieku! Tak!... Nie ma to jak z dziewczętami... (Siada i mówi poufale do publiczności). Jak pomyślę naprzykład o Deboszecie! Temu się udało!.. cudowna kobieta jego Malwina... poetyczna... uczuciowa... sentymentalna... poznali się w Tivoli. Albo ta Karolina... kochanka Topinarda... Takie to lubię... Kokietka, fantastyczka... pieniądze wyrzuca za okno garściami... a co za szyk! Suknia z ogonem... takim... kapelusz za grzywką, nepętiny do pasa... szyk....

A Adela!.. Ta ci się dopiero kochała w Gustawie... no... a zazdrosna!.. Onegdaj w cukierni spojrzał on był na jakąś wysoką blondynkę.... Chlusnęła mu w twarz całą filiżankę czarnej kawy... Szkoda żeście nie widzieli... potem... atak nerwowy... spazmy... słychać ją było na trzeciej ulicy... ludzi zbiegło się z kilkuset.... Ah! nie każdy może być tak szczęśliwym jak ten Gustaw! Szalałbym za nią, będąc na jego miejscu. Lubię także takie jak Hortensya, kochanka Berlurota, namiętna brunetka.... rodzaj zapamiętały.... Berlurot 11 razy wstrzymał ją od samobójstwa... Nosi za pasem sztylet zatruty.... Moja żona nie ma wcale sztyletu, a cóż dopiero zatrutego (zrywa się). Tak! ten spokój mnie zabija!!!.. O moje kawalerskie życie! (Ogląda się i idzie do biurka). Jestem sam... dodajmy jeden ustęp do dziennika mojego życia (Wyciąga klucz z kieszeni, otwiera biurko, bierze rękopism i pisze mówiąc niekiedy): Ah! co za wegetowanie! bez wzruszeń!... nic! krew płynie jak w ślimaku!... jezioro bez zmarszczki. Królestwo dam za burzę!... Za chwilę zobaczycie; wejdzie moja żona, ubrana, uczesana, i co do słowa powie: Dzień dobry mężusiu!... jak się masz pieseczku! Czy dobrze spałeś?... Pewno ci się chce jeść....

Otóż moje życie od trzech miesięcy.... To piekło! Dajcie mi ruchu! dajcie mi wzruszeń!.. (Składa rękopism, zamyka biurko i chowa klucz do kieszeni. Cezaryna wchodzi).

SCENA II.

CEZARYNA (w rannym kostiumie). Dzień dobry mężusiu!

HIPOLIT (na str.). A co! nie mówiłem...

CEZARYNA. Jak się masz pieseczku! (Hipolit całuje ją w czoło) czy dobrze spałeś?... pewno ci się chce jeść?..

HIPOLIT (na str.). Ani jednego wyrazu nie darowała.

CEZARYNA. A kto da śniadanko chłopeczkowi, pewno żonusia.

HIPOLIT. A gdzież służąca?

CEZARYNA. Pozwoliłam Ernestynie wyjść na cały dzień... Poszła do ciotki w Vincennes.

HIPOLIT. Cóż znowu.... Ciotka w Vincennes... w obozie?... zapewne służy w artyleryi... poszła widać szukać wrażeń.

CEZARYNA. Mój drogi czego się gniewasz — czy sądzisz że cię źle obsłużę. Bądź spokojny. Ernestyna wszystko przysposobiła przed wyjściem.... Patrz jak się pali ślicznie na kominku.

HIPOLIT. Tak! tak!

CEZARYNA. Kupiłam puszeczkę pasztetu. .. dwa kotleciki, odrobinę sera, parę gruszek i buteleczkę wina. Cóż kontent jesteś aniołku? Zaraz przystawię stół (Wychodzi na prawo).

HIPOLIT. (przez chwilę sam). Otóż moje życie od trzech miesięcy... jem, piję i śpię. Oh! muszę wyjść z tego piekła.

CEZARYNA. (wraca i przynosi mały stoliczek nakryty) No, już nakryte...

HIPOLIT. (podchodzi do stolika i krzyczy ze złością). Cóż to za jakieś kotlety.

CEZARYNA. Wszak lubisz niedosmażone.

HIPOLIT. Ale te są zupełnie surowe, a przecież ja nie jestem dzikie zwierze z menażeryi żebym jadł surowe mięso (przechodzi na lewo).

CEZARYNA. Uspokój się, mój jedyny! już sama dosmażę, a ty ubierz się tymczasem.

HIPOLIT. A tak prawda, trzeba się ubierać... (na stronie). I to się nazywa życie!

CEZARYNA. Idź syneczku! ubieraj się, żebyś się nie spóźnił do biura.

(stawia fotel po lewej stronie stołu)

HIPOLIT. To i cóż wielkiego że się spóźnię... teraz nie zapisujemy się do kontroli, można przychodzić o której się podoba. Ale pójdę się ubierać, kiedy już koniecznie trzeba.

CEZARYNA. Otóż właśnie... a ja przygotuję wszystko przez ten czas, nie bój się Poleczku... będziesz miał doskonałe śniadanko.

HIPOLIT. Nie, ja nie wytrzymam w tym piekle! (wychodzi).

SCENA III.

CEZARYNA sama. (Uważa czy Hipolit już wyszedł, potem spieszy do biurka wyciągniętym z kieszeni kluczykiem otwiera biurko i bierze dziennik męża).

Zobaczymy co ten urwis popisał tutaj. (przerzuca karty). Malwina, Karo... To już znane rzeczy, Adela... Hortensya... i o tem doskonale już wiem... Ah! świeży atrament (czyta), „18 stycznia... Niech diabli porwą Berlurota, za to że mnie ożenił.“ Słowo w słowo moje zdanie. Pal diabli i Berlurota... (czyta): „Cezaryna jest nie brzydka, ale ona nie żyje—taka ckliwa, taka zwyczajna kobieta, ot po prostu mumia egipska“ (przerywa) ja jestem mumia egipska! (czyta) „życie moje jest jak jezioro bez fali, nudzę się jak scyzoryk na piecu“.... I ja kochałam tego zbrodniarza! (kładzie rękopis do biurka, zamyka go i chowa klucz do kieszeni). A, potrzebujesz kobiety sentymentalnej, lwicy zazdrosnej i namiętnej. Poczekaj, będziesz ją miał, Sardanapalu! Aha! kotlety ci surowe, zaraz ci przyprawię, rozbójniku jakiś (wrzuca je w ogień), teraz będą lepsze! Chcesz fali na twojem jeziorze! strzeż się, bo i ja mam pazurki! (siada na kanapie)

SCENA IV.

CEZARYNA przy kominku, HIPOLIT wchodzi ubrany.

HIPOLIT. (do publiczności). Koszula była na swojem miejscu, spinki leżały obok krawata, ani jednego guzika nigdzie nie brakuje, kamasze wyczyszczone! Pojmuję roskosz samo-

bójstwa! Ale cóż tu tak czuć spaleniznę! (siada do stołu). No! teraz weźmy się do kotletów.

CEZARYNA (Wstaje i przynosi kotlety w szczypcach żelaznych). Proszę cię, jedz mój drogi.

HIPOLIT. A to co takiego?

CEZARYNA. Troszeczkę się przyrumieniły.

HIPOLIT. Jakto przyrumieniły,—przecież to węgiel.

CEZARYNA (coraz patetyczniej, kotlety trzyma w szczypach od kominka). A tak... w rzeczy samej! Ale cóż robić? Życie ludzkie jest próbą (Hipolit podnosi głowę). Mówimy do siebie: Niebo takie błękitne! mam dwadzieścia lat! życie się do mnie uśmiecha, ptaki śpiewają?...

HIPOLIT. Co takiego?

CEZARYNA. Kwiaty rozlewają balsamiczne zapachy. Wszystko to unosi! zachwyca! Hipolicie, czy wierzysz w nieśmiertelność duszy?...

HIPOLIT (na str.). A jej co się zrobiło? (głośno). Połóż że szczypce, moja droga.

CEZARYNA. Co to za raj na ziemi. Być tylko pianką, wznosić się jak dymek ku niebu, i pływać w nieskończoności, lub wzlatać jak skowronek coraz wyżej... coraz wyżej...

HIPOLIT. Co się tobie znów marzy?

CEZARYNA. Oh! wtedy nie mówiłabym już więcej: Trzeba iść do owocarni, albo też trzeba porachować, co się należy za pranie... nie martwiłabym się tem że chleb coraz droższy, że bułeczki coraz mniejsze... O tak! nie jeść, nie spać, ale być tylko duchem i ulatać jak jaskółka, śpiewać jak chór aniołów śpiewa! (rzuca kotlety na stół, ale szczypce trzyma w ręku).

HIPOLIT (na str.). Czyżby ona była lunatyczką?...

CEZARYNA. Hipolicie, jak się nazywają te ptaki z niebieskiemi skrzydłami?

HIPOLIT. Papugi?...

CEZARYNA. Nie... Przypomnij no sobie, te co to... po nad strumykiem rosną wierzby... w tem zrywa się ptaszek....

HIPOLIT. Zimorodek. Ale dla czego mię o to pytasz?

CEZARYNA. Hipolicie....

HIPOLIT (który zaczynał jeść pasztet). Co chcesz aniołku?

CEZARYNA (siada na kanapie i rzuca po za siebie szczypce). Chodź tu, usiądź przy mnie.

HIPOLIT (siadając). Służę ci moja droga (na str.), ależ to wcale nienaturalne.

CEZARYNA. Ach tak! pozwól mi złożyć głowę na twoich piersiach, słuchać jak ci serce bije... czy przypominasz sobie te kilka dni które spędziliśmy nad morzem?

HIPOLIT. Tak... tak...

CEZARYNA. A pamiętasz nasze przejażdżki w czółnie?

HIPOLIT. A jakże pamiętam... było mi wtedy bardzo nie dobrze. Ale do czego to wszystko prowadzi?

CEZARYNA. Morze, to otchłań ciemna, niezmierzona... W oddali słońce zachodzące po za obłoki ze złota i purpury... białe żagle znikają w przestrzeni jak skrzydła łabędzie (powiewa chustką i śpiewa): Marynarzu, miej nadzieję, Bóg prowadzi nas! (bis) (zmieniając raptem ton) Powiedz mi, mój drogi, czy ożenisz się jak ja umrę?

HIPOLIT (na stronie wstając). Ależ ona plecie jak na mękach (głośno). Któż słyszał zadawać mi podobne pytanie?

CEZARYNA. Jak się nazywają te ptaki z wielkiemi skrzydłami.

HIPOLIT (na str.). A już mnie znudziła temi swojemi ptakami.

CEZARYNA (wstając). O tak, Hipolicie, życie ludzkie jest zagadką!

HIPOLIT (wybuchając). Cóż to znów Cezaryno — czy żartujesz ze mnie?

CEZARYNA. Boże mój! jak ja cierpię!

HIPOLIT (trochę zaniepokojony). Jak to, ty cierpisz?

CEZARYNA. Zdaje się, że coś pękło we mnie.

HIPOLIT. Gdzie moja droga? co ci pękło?

CEZARYNA. Tu... w piersiach... w piersiach... ale wszystko mi jedno... życie to tylko chimera... hum.. hum... (udaje że kaszle). Słyszysz jak ja kaszlę? (siada przy stoliku).

HIPOLIT (bierze taboret i siada obok niej). Ależ w takim razie trzeba posłać po doktora.

CEZARYNA. Doktora? a to po co? dla mnie już nie ma ratunku... jestem zgubiona! Ale bądź spokojny interesa moje pozostawię w porządku. Masz tu książeczkę z mojemi wydatkami. Czytaj (wyciąga książeczkę z kieszeni i podaje mu).

HIPOLIT. Ale po cóż to, wiem doskonale że jesteś dobrą gospodynią... nawet za dobrą...

CEZARYNA. Czytaj... proszę cię o to... ja wymagam tego.

HIPOLIT (wstając). Ale i owszem (na str. pokazując na głowę), zdaje mi się że prędzej jej tutaj coś pękło.

CEZARYNA. Czytaj mój drogi.

HIPOLIT (czytając). 5-go, wiązka rzodkwi, 6-go, 3 funty mięsa, 7-go, koń wierzchowy. Co, koń?

CEZARYNA. Angielski, mój kochanku. Przypadkiem go kupiłam. Czytaj dalej.

HIPOLIT. 8-go—masło, szpicruta, bułki, siodło i uzdeczka. Jakto siodło i uzdeczka?

CEZARYNA. Czyż chcesz żebym jeździła na nie osiodłanym koniu, a może jeszcze stojący jak w cyrku.

HIPOLIT (rzucając książkę o ziemię). Ja wcale nie chcę żebyś ty jeździła.

CEZARYNA. Ja zaś chcę upiększyć ostatnie chwile mojego życia (powstając); dla mnie zgiełk, zabawy, ja pragnę upojenia... muzyki... strumieni światła. Chcę rozpłynąć się w walcu! dajcie mi suknie! dajcie mi stroje! brylanty... Poczekaj no, zaraz ci coś pokażę (otwiera komodę w głębi stojącą).

HIPOLIT (na str.). Nic tego nie rozumiem! nie widziałem jej nigdy w podobnym stanie. (patrząc na nią). Co się tej kobiecie zrobiło?..

CEZARYNA (wyciąga z komody jedną rzecz po drugiej). Patrz, to mój kapelusz! (kładzie go na głowę).

HIPOLIT. Męzki kapelusz?

CEZARYNA. To jest szpicruta, a tutaj puder.

HIPOLIT. Nieba! ona się maluje!

CEZARYNA. Bądź spokojny to wszystko wzięte na kredyt.... a to moja amazonka, muszę ją przymierzyć (przymierza).

HIPOLIT (na str.). Ależ to najzupełniejsze pomieszanie zmysłów.

CEZARYNA (n. s.). Numer drugi, lwica... Będziesz ją miał zaraz łotrze jakiś.... Będziesz ją miał.

HIPOLIT. Pani! Cezaryno! Ja ci zabraniam, czy słyszysz? ja ci zabraniam...

CEZARYNA. Proszę cię mój kochany, dajże mi święty pokój, czego mi przeszkadzasz?

HIPOLIT (na str.). Ona mówi że ja jej przekadzam.

CEZARYNA. Ah! te szwaczki, te szwaczki, chcą robić wszystko według swego widzi mi się! Patrz! cóż? mam szyk! nieprawdaż i zacięcie jest? (Kładzie kapelusz na ucho i trzaska szpicrutą).

HIPOLIT. Nie, to nie do wytrzymania... odmienili mi żonę w kontramarkarni... (głośno) Dosyć tego, czy rzucisz tę szpicrutę na ziemię, czy nie?

CEZARYNA. Co?

HIPOLIT. Czy zdejmiesz ten kapelusz z głowy, natychmiast....

CEZARYNA (wydaje okropny krzyk i ucieka na prawo). Ah! on podniósł na mnie rękę (wołając): O moja matko!

HIPOLIT. Masz pociechę! teraz woła matki na pomoc, Cezaryno, jesteś pod moją władzą, przysięgłaś mi posłuszeństwo.

CEZARYNA. Ja? Ani mi się śniło nawet.

HIPOLIT. Jakto? Wszak ksiądz—powiedział ci wyraźnie posłuszeństwo....

CEZARYNA. No tak, ksiądz powiedział.

HIPOLIT (zwycięzko). A widzisz!

CEZARYNA. Tak! ale ja ani myślałam po nim powtarzać, właśnie welon mi się wtedy zaczepił o kwiaty przy sukni i musiałam go poprawić. Wianek także zsunął się trochę i drapał mnie po szyi.

HIPOLIT. Więc cóż?

CEZARYNA. Więc to, że wcale nie powiedziałam, posłuszeństwo. Żona winna posłuszeństwo mężowi... inne kobiety niech sobie robią co chcą, ale ja nie...

HIPOLIT. Winnaś mi posłuszeństwo!

CEZARYNA. Winnam! winnam! to wielkie rzeczy, ale nie myślę oddawać—teraz wszyscy tak robią i cóż?...

HIPOLIT. Tego za wiele! Oświadczam ci że w tej chwili spalę tę amazonkę.

CEZARYNA. Ty!

HIPOLIT. Ja!

CEZARYNA. Zdaje ci się...

HIPOLIT. Gdzie jest twój koń?

CEZARYNA. Oddałam go do Pelletiera.

HIPOLIT. Dziś jeszcze sprzedam go...

CEZARYNA. Ty?

HIPOLIT. Ja!

CEZARYNA. Czy już skończyłeś?

HIPOLIT. Pani!

CEZARYNA. Patrz do czego mnie doprowadziłeś (wzrusza ramionami).

HIPOLIT. Nie pozwalam na takie szalone wydatki.... a zresztą nie mam pieniędzy...

CEZARYNA. Ty nie masz pieniędzy?

HIPOLIT. Tak... ja pani.

CEZARYNA. Przecież masz 10 tysięcy franków dochodu.

HIPOLIT. O! z tem nie daleko zajedzie.

CEZARYNA. Ja też nie mam ochoty jechać do Kochinchiny tylko na bulwary.... On nie ma pieniędzy!... a przecież masz swoję kamienicę?

HIPOLIT. Na Batignolle, to przecież, nie w Paryżu.

CEZARYNA. Przepraszam cię, Batignolle jest

w Paryżu odkąd posunęli rogatkę. A posady to nie masz?

Hipolit. Wielkie rzeczy, 3,000 pensyi.

Cezaryna. I ty mówisz że nie masz pieniędzy (ironicznie). Hipolicie twoje żartynie są w dobrym tonie (odchodzi z godnością).

Hipolit. Czy ja mam, czy nie mam, to do mnie należy — ale że ich pani nie dam to więcej jak pewno.

Cezaryna. Co? więc ty mi odmawiasz? (na str.) Numer trzeci kobieta zazdrosna. (głośno) A więc ty mi odmawiasz? dla tego zapewne żeby dawać innej?...

Hipolit. Innej, co za innej.

Cezaryna. Hipolicie, ty masz kochankę.

Hipolit. A to co znowu. (przechodzi na prawo).

Cezaryna. Co za hańba! mój Boże! ten nędznik ma kochankę! A ja nie chciałam wierzyć przeczuciu, które mi zawsze mówiło, że ty mnie zdradzasz...

Hipolit. Jesteś szalona, moja droga... (siada na fotelu).

Cezaryna. Wczoraj wieczorem wyszedłeś o 8 godzinie, powróciłeś zaś o 12.... Coś robił przez ten czas?

Hipolit. Byłem w klubie.

Cezaryna. Najłatwiej powiedzieć w klubie.... mówi się do żony: Adieu ci aniołku, idę do klubu... a tymczasem idzie się romansować z jaką baletnicą! O mężczyźni są podli!

Hipolit. Poszedłem do klubu i graliśmy w bezika z Berlurotem do 1,500, partie fixe.

Cezaryna (patrząc mu uważnie w oczy). Tak... więc pokaż mi swoję portmonetkę.

Hipolit. Portmonetkę? i owszem masz ją.

Cezaryna (biorąc). Wczoraj wychodząc miałeś 29 franków a teraz masz wszystkiego 26 fr. i 10 sous. Coś zrobił z resztą pieniędzy?

Hipolit. Ależ....

Cezaryna. Mów... jeżeli możesz powiedzieć!

Hipolit. Przegrałem 15 sous, za pół porcyi franka a 10 sous dałem stróżowi.

Cezaryna. A jeszcze 15 sous gdzie?

Hipolit. No, szwajcar pięć sous...

Cezaryna. Pięć sous szwajcarowi potrafisz dać, a żonie głupiego konia odmawiasz?.. Tak?.. O mężczyzni są podli! Więc jeszcze brak dziesięć sous... gdzieś je podział?

Hipolit. Alboż ja mogę wiedzieć?

Cezaryna. Nie wiesz? A więc ja ci powiem (z godnością): Te dziesięć sous dałeś twojej kochance.

Hipolit. No... no... no...

Cezaryna. Jesteś podłym zdrajcą!

Hipolit. Ale jak Boga kocham, tak nie...

Cezaryna. A ja siedziałam sama jedna w domu! Więc ta kobieta jest taka piękna?

Hipolit. Jaka kobieta? ja żadnej kobiety nie znam.

Cezaryna. I oto jest człowiek z którym związano moje życie! O mężczyźni! Każdy z was, jak mu minie trzydziestka powiada sobie: dosyć już tej łobuzerki, panienka jest nie szpetna, ma posag, trzeba się z nią ożenić. I wkręcacie się w uczciwe rodziny, w nowym fraku, z ufryzowanemi resztkami włosów na głowie, i dopóty robicie słodkie oczy dopóki biedne dziewcze nie powie sobie: „ten pan nieźle się prezentuje,“ Wtedy zaślubiacie nas z łaski swojej... a w trzy miesiące potem już macie kochanki, na które wyrzucacie szalone summy, sprawiając im garnitury z brylantów, kolie z pereł na szyję! a my biedne uczciwe kobiety jak kapłanki ogniska domowego pilnujemy waszego dobra... za co przynosicie nam wieczorem.. Kuryera... Hipolicie co zrobiłeś z dziesiątką?..

Hipolit. Nie! to nie do wytrzymania! Odchodzę! Bądź zdrowa, (bierze kapelusz i chce wyjść w głębi).

Cezaryna (biegnie i zagradza drzwi dramatycznie). Nie wyjdziesz stąd!

Hipolit. Ależ co znowu!

Cezaryna. Więc ty tak bardzo kochasz tę twoję Julię?

Hipolit. Julię, co za Julię, ja nie znam żadnej Julii. d. n.

GAWĘDY HIGIENICZNE I LEKARSKIE.

XXVI.

Z POSIEDZEŃ U LEKARZA.

7. Cierpię na wątrobę!

z Prof. i D-ra Bock'a, podał St. W. Łukowski.

— Dziwna rzecz! A mnie się zdaje, łaskawa pani, że to raczej wątroba mogłaby się z powodu swych cierpień poskarżyć na panią, to jest na złe obchodzenie się pani z rzeczonem narzędziem, oraz na jej zbyt ciasną odzież. Taka kibić, jaką pani posiada, zrobiłaby zaszczyt nawet osie; dla ociągnięcia zaś jej, nie żałuje pani pewno swej wątroby.

— Lecz skądże powstały żółte plamy na mojej skórze?

— Plamy te, mają tyleż związku z wątrobą, co piegi lub śniada cera twarzy. W ogóle choroby wątroby, we właściwem znaczeniu tego wyrazu, zdarzają się, nadzwyczaj rzadko, w szczególności zaś u takich młodych i tak dobrze wyglądających kobiet jak pani.

— Przytem jestem bardzo drażliwą, musi temu być winną chyba żółć.

Delikatność nie pozwala mi wyznać owej pani, że pomieniona drażliwość oraz skłonność do gniewu, są niczem więcej, jak złym jej nałogiem, zasługującym na naganę, lecz pomyśleć o tem, nikt mi nie zabroni.

— Wreszcie, nawiedzają mnie często kłujące bóle w prawym boku, poniżej ostatnich żeber, w tem samem miejscu, gdzie leży wątroba; bóle te wzmagają się przy głębokiem wdychaniu.

— Bóle podobnego rodzaju prawie zawsze towarzyszą zapaleniu powłoki wątroby (które więc nie jest zapaleniem wątroby, lecz częściowem zapaleniem otrzewnej, pokrywającej nieprzerwanie i inne narzędzia brzuszne), natomiast, przy rzeczywistych chorobach wątroby, zjawiają się bardzo rzadko. Zresztą, o czem tu mówić: potrzeba koniecznie poddać miejsce, gdzie leży wątroba, uważnemu zbadaniu za pomocą opukiwania i omacania.

I cóż się okazało? Na skórze górnej jamy brzusznej, widać idącą od jednego do drugiego boku, dość głęboką, nieco zaczerwienioną bruzdę, szeroką mniej więcej na mały palec u ręki; bruzda ta jest następstwem uciskania przez tasiemki spódnic, choćby nawet słabo zawiązane. Podobne wklęśnięcie odbija się również na wątrobie, powodując, niezależnie od zwyrodnień samej wątroby i ucisku żołądka, owe bóle, o których wyżej wzmiankowaliśmy. Nie rzadko, do takiego uszkodzenia wątroby, przyczynia się i sznurówka (gorset) uciskając zbyt mocno miękką materyę ostatniej. Wywołuje ona zapalenia powłoki wątroby.

W celu więc uniknięcia wszystkich tych złych skutków, rada moja będzie następująca: przyszyjcie do swych spódnic szelki lub też bardzo szerokie taśmy z klamrami i ściągajcie sznurówkę tylko do połowy, poniżej piersi. W każdym razie, przy ściąganiu sznurówki trzeba zważać na to, ażeby klatka piersiowa miała jak największą swobodę rozszerzania się, nieodzowną jej do oddychania.

Podczas bólów należy zastosować na okolicę wątroby ciepłe okłady. Wszelka paprania, jako to: pijawki, bańki, gorczyczniki (synapizmy), hiszpańskie muchy (kantarydy) i inne, do niczego w podobnym wypadku nie prowadzą.

Trzeba także pamiętać, że wązkie sznurówki i tasiemki spódnic, zmieniając budowę wątroby, tamują czynność tego narzędzia, żółć wyrabiającego, co swoją drogą sprowadza zaburzenia w trawieniu, odnowie krwi i jej oczyszczeniu z materyj zużytych.

Korespondencya Opiekuna Domowego.

Zurych 16 lutego 1876 r.

II.

Produkcya pierwiastkowa (urproduktion, la production primitive) miasta Zurychu, składa się z niewielu gałęzi, jakto: rolnictwo à la lettre, chów bydła, winnictwo, ogrodnictwo, leśnictwo i bardzo mało rozwinięte górnictwo.

Co do tego ostatniego, chociaż specyaliści dowodzą, że bogactwa wnętrza ziemi i gór szwajcarskich są niewyczerpane, jednak czyto dla braku wielkich kapitałów, czy dla innych powodów, wyzyskiwanie gruntu przez górnictwo i kopalnictwo nie ma tu powodzenia. Z Jury dostają trochę żelaza (mówią że dobrego), w kantonie Wallis mają antracyt, w Bernie, Luzernie i Freiburgu węgiel kamienny lepszych gatunków, lecz jak ten, tak i drugi wcale nie wystarczają na potrzeby miejscowe. Cokolwiek więcej węgla brunatnego i ziemnego dostają w kantonach Waadtland, St. Gallen i zurychskim (koło miasteczka Horgen na zachodnim brzegu jeziora zurychskiego), torfu w każdym kantonie znajdzie się potrochu, saliny kantonów Wandtland i Aargau (Argowii) nie dają soli nawet na potrzeby miejscowe, tylko wyłom kamienia na wszelkiego rodzaju publiczne i prywatne gmachy tu kwitnie. W samem mieście Zurychu kilkunastu ludzi trudni się wyłamywaniem tutejszego Quaderstein'u w jednej z gmin przedmiejskich.

Gospodarstwo rolne w Zurychu może być uważanem tylko jako pomoc przemysłowi fabrycznemu. Są kantony jak Bern, Aargau, Solothurn, Freiburg, Waadt i w części Luzern, gdzie się znajdzie trochę rolników na większych gospodarstwach, ale nigdy nie szerszych nad zakres niewielkich ferm w kantonie zurychskim, przemysłowym par excellence, a szczególniej w miejskich i przedmiejskich gminach. Ziemia podzielona na malutkie kawałki jest tylko jednym z artykułów budżetu jej posiadacza. Najczęściej się spotka pomiędzy właścicielami ziemskiemi handlarzy, rzemieślników, robotników fabrycznych, szczególniej farbiarzy, którzy zajęci swoim fachem, oddają uprawę należącej do nich roli swoim żonom i dzieciom nieletnim, a w taki sposób, mieszkając po większej części w pobliżu swych pracowni i handlów, lub też korzystając z tanich komunikácyj żelazno-kolejowych (książeczki miesięczne), mogą jednocześnie jedną ręką uprawiać rolę, drugą przemysł. Rolnictwo zurychskie, w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, ogranicza się na uprawie łąk, jeżeli kawałek ziemi wielkości morga lub dwóch da się nazwać łąką. Uprawa więc łąkł, winnic, ogrodów, chów bydła i wyrób serów, oto granice pracy ziemskiego właściciela w Zurychu; zasiewów zbożowych tu wcale się nie spotka: miasto Zuryeh w jego dziesięciu gminach ma do 4 tysięcy juchartów [1]) roli uprawnej, a w tej liczbie koło 400 juchartów pod winnicami, więcej jak tysiąc pod ogrodami, reszta łąki. Gospodarską uprawą roli i leśnictwem (lasy należące do miasta Zurych zbyt mało zajmują przestrzeni, żeby można nazwać leśnictwem zachody tego rodzaju, ułożone według wszelkich prawideł sztuki leśniczej; mówiąc niżej o leśnictwie tutejszem przejdę w nieco rozleglejszy zakres lasów całego kantonu), trudni się w Zurychu 584 mężczyzn i 19 kobiet jako gospodarze niezależni i 698 mężczyzn, 399 kobiet jako najemnicy. Rodziny pierwszych stanowią 1098 osób, drugich ledwo 178. Da się to wytłómaczyć, jeżeli powiemy, że gospodarze są to mieszkańcy tutejsi, najemnicy zaś to przychodni z drugich kantonów lub okręgów po pracę do Zurychu, którzy nie mając fachu wzięli się do pracy rolniczej. W całym okręgu zurychskim ludzi trudniących się koło roli jest do 12% siły roboczej, w mieście ten procent będzie znacznie mniejszy. W okręgu zurychskim wypada na każdego gospodarza około 6 morgów ziemi, na każdego najemnika do roli, około 2½ morgów. Trzeba tu dodać że wydzierżawianie ziemi nie jest tu we zwyczaju.

Często zabawnem, ale zawsze nauczającem jest widzieć jak pracuje Szwajcar na swoim kawałku ziemi. Na gruncie jałowym, skalistym, za pomocą częstego polewania wodą gnojową, przy dobrze zastosowanym drenażu, przy dobrych gatunkach traw, doprowadził każdy z nich swój kawałek sianożęci do tego stopnia, że kosi trawę trzy albo cztery razy do roku. Dla zaopatrzenia się w potrzebną ilość wody gnojowej mają dobrze urządzone gnojówki wycembrowane, zacementowane wewnątrz, tak że woda ściekająca do jamy ze złożonych nad nią nawozów z trudnością przecieka w ziemię. Tą wodą polewają sianożęć trzy, często i cztery razy do roku. Zbiór siana przeciętnie wynosi z dobrej sianożęci 49 centnarów tutejszych z juchartu rocznie, czyli do 300 pudów z morga; z gorszych sianożęci zbiór bywa 25 — 40 centnarów, czyli 150 — 240 pudów z morga. Cena na siano i słomę tej zimy trochę wyższa niż zwykle, bo pud siana kosztuje więcej jak 60 kop., pud słomy 45 kop.

Ponieważ głównym surrogatem chleba dla ludzi biednych są tu kartofle, więc też je często można widzieć w ogrodach; średni urodzaj wynosi 52 centnary z juchartu, czyli 312 pudów z morga. W okręgu zurychskim średni urodzaj pszenicy bywa 66 pudów z morga, żyta 72 — 75 pudów, ale są to obliczenia bardziej przypuszczalne niż rzeczywiste, oparte na tem coby mogło być, bo słowo daję, choć często się włóczyłem po wsiach tutejszych, bardzo rzadko zdarzyło się mi napotkać w kantonie zurychskim zagon zboża. Za to nigdy nie uszedłem jednego kwadransa drogi, żeby nie spotkać mniej lub więcej rozleglej winnicy i muszę tu zaznaczyć na pochwałę Szwajcarów, że kiedym nieraz pozwolił sobie nabrać pełen kapelusz winogron, nigdy nie chciano przyjąć odemnie zapłaty. To mi przypominało groch litewski przy drodze, który tem więcej rodzi, im więcej go podróżni niszczą. Dla gospodarzy tutejszych winnice stanowią nie lada zarobek, szczególniej gdzie gospodarz ma kawałek góry obróconej na południe, bo wino z takich winnic ma jakoby lepszy smak. Z jednego jucharta winnicy przy średnim urodzaju można mieć 21 saum (1 saum = 150 litrom = 12,21 wiadra), co stanowi mniej więcej 515 wiader z morga; ponieważ zaś saum czerwonego wina, kosztuje średnio 58 fr. a białego 40 fr., więc można dochód brutto z jednego jucharta ocenić na 1218 franków (+366 rs.) z winogron czerwonych i 840 fr. (+252 rs.) z winogron białych czyli 504—732 rs. z morga. Winnice tutejsze wymagają bardzo wiele pracy jak latem, tak też w jesieni, kiedy każdą łozę trzeba zakopać do ziemi, więc koszt na unawożenie, zakopywanie, okopywanie, odkopywanie etc. jest dość znaczny. Wino tutejsze jak w ogóle szwajcarskie jest mocne i kwaśne, ma smak atramentowy, lecz po pewnym czasie, kiedy się do niego przyzwyczaić, smakuje wcale dobrze. Wina czerwonego otrzymują tu o 10 razy przynajmniej mniej niż białego, bo jak mówią, urodzaj białych winogron jest pewniejszy przy klimacie tutejszym. Wielkie szkody robi tu winnej łozie Phylloxera vastatrix (Reblaus), a oprócz niej, zimy często dość mroźne robią wielkie szkody winnicom. Niedawno naprzykład, mieliśmy do 10 stopni zimna, prawda, że tylko przez jeden dzień.

Na łąkach i w ogrodach zasianych warzywem sadzą tu rozmaite drzewa owocowe, a chociaż owoce tutejsze są w najgorszym gatunku, kwaśne i twarde, to jednak sprzedaż ich uzupełnia dochód z ziemi. Cena na gorsze jabłka dla użytku kuchennego 30 kp. pud, lepszych gatunków 45 albo 60 k., gruszki cokolwiek droższe, wiśnie 1,20 — 1,35 kopiejek pud, śliwki tyleż; jabłecznik kosztuje średnio 45 kop. wiadro.

Z tego co powiedziałem można wywnioskować, że ceny na ziemię są tu bardzo wysokie stosunkowo do naszych. Nie mówię już o cenach ziemi w mieście, bo tu na nie wpływają różne spekulacyjne cele i ceny dochodzą stosownie do miejsca 2 — 5 frank. za stopę kwadratową; ale i w gminach przedmiejskich ceny są też znacznie wyższe, niż w miejscach bardziej od miast oddalonych. Naprzykład w jednej z gmin przedmiejskich miasta Zurychu, zwanej Hottingen, juchart winnicy kosztuje przeciętnie 5203 franków (juchart pod winnicą nie wiem z jakiej racyi wynosi tylko 32,000′ □, a nie 40) czyli 3900 rs. morg polski, nie licząc w to zapłaty notaryalnej wynoszącej kilkanaście rubli; juchart sianożęci (36,000′ □) kosztuje w tejże gminie 4200 franków czyli koło 2880 rs. mórg; ogrody warzywne 2663 franków juchart (3600′ □) czyli około 1826 rs. morg. Trzeba jednak zauważyć, że w tejże gminie są ziemie kilka razy droższe od wskazanej normy, również jak są i tańsze, stosownie do miejsca przy jakiejś ulicy, projektowanej drodze i t. p. Tak naprzykład w gminie Schwamendingen, bardziej od miasta oddalonej, juchart winnicy kosztuje przeciętniowo 2400 fr., juchart sianożęci 1338, juchart ogrodów 1634 fr., biorąc zaś ceny w całym okręgu zurychskim, przeciętniowo juchart winnicy (32,000′ □) kosztuje 3647, juchart sianożęci (36,000′ □) 1462, a juchart ogrodów 1612 franków [1]).

Kto tylko ma kawałek łąki, a tem samem trochę siana, stara się tu przechowywać krowę, bo mleko blisko miasta ma dobry zbyt. Krowy oprócz dojenia, są też często używane do zaprzęgu i z pewnością że nie ustąpią w sile naszym wołom. Średnia cena krowy 150 rs., są zaś daleko droższe, taka średnia krowa daje przeciętniowo przez cały rok 5 maass (7½ litr.) czyli więcej niż pół wiadra mleka dziennie. Oprócz cieląt zbierając na wpół śmietankę, można mieć funt masła z 15 maass, co wyniesie rocznie do 175 franków od każdej krowy, mleko zaś jak mówiłem sprzedawanem jest po 30 cts. maass, więc choć krowie trzeba dawać blisko 1 pud siana dziennie, zarobek będzie w każdym razie niezły. Znanych na całym świecie serów szwajcarskich w Zurychu robią mało, bo sprzedaż świeżego mleka jest korzystniejszą. Wyrób serów kwitnie przeważnie w stronach alpejskich Szwajcaryi, gdzie karm (cały rok prawie pasza po górach i dolinach) nic nie kosztuje, i zbyt mleka świeżego trudny. W kantonie Zug, mianowicie zakład Cham fabrykuje mleko konserwowane według metody Liebiga, lecz ten rodzaj przemysłu mlecznego nie nabrał jeszcze popularności. W Zurychu chociaż robią sery, to stosunkowo w rozmiarach ograniczonych, najczęściej z pozostałego od sprzedaży mleka. Godnemi uwagi są tutejsze towarzystwa do robienia serów, które jak w całej Szwajcaryi tak i tu są bardzo w modzie. W tych tak zwanych Gemeindekäserein, obywatele gminy

---

[1]) Juchart =40,000 stóp kwadratowych= 0,51 morga polskiego, trochę więcej niż półmorga.

[1]) Wskazane tu ceny wzięte są z dzieła: „Beiträge zur geschichte der Güterpreise im Kanton Zürych von C. K. Müller, Chef des statist: Bureau des Kantons.“

albo zawierają wszyscy kontrakt z entreprenerem i sprzedają mu według umowionej ceny wszystko mleko, a ten robi sery na własną korzyść, lub też co się praktykuje częściej, wszyscy obywatele gminy mający krowy, stanowią samoistne towarzystwa robienia serów; w takim razie pełnomocnicy prowadzą rachunki dostarczonego przez każdego członka mleka, określają wydatki każdego względem kosztów wyrobu, robią sery i otrzymane ze sprzedaży pieniądze dzielą pomiędzy członków. Często można nawet spotkać że cała gmina ma ogólne obory, gdzie najęci przez gminę dozorcy zawiadują dobrem ogólnem, a właściciele krów odbierają tylko należącą im część w pieniądzach po sprzedaniu serów. Podział dokonywa się najczęściej na mocy danych, otrzymanych z wypróbowania mleczności każdej krowy. W taki sposób gospodarz, coby sam nie był w stanie nigdy zająć się wyrobem serów z mleka od jednej krowy, może ciągnąć zyski stosunkowo znaczne. Nawet i posiadacze kilku krów w takich towarzystwach zmniejszają koszta wyrobu i nieporównanie powiększają zyski; rozumie się że przytem wygrywa wiele dobroć i czystość samego wyrobu. Można zresztą powiedzieć, że w Szwajcaryi trudno dostać dobrych gatunków sera szwajcarskiego, bo wszystko lepsze idzie za granicę, a szewc jak zwykle chodzi bez butów.

Ostatnia gałęź przemysłu ziemnego tutejszego, leśnictwo—coraz bardziej a bardziej nabawia niepokojem rozsądniejszych obywatelów tutejszych, coraz częściej słychać głosy dopominające się ogólnego prawa leśnego, któreby postawiło tamę arbitralności osobistej lub gminnej nad bogactwem kraju. Większość lasów tutejszych należy do gmin. W całej Szwajcaryi liczą lasów 2,134,600 juchartów czyli około 36,302 włók polskich; z tej liczby do kantonów (tak zwany u nas skarbowy las) należy 90,000 juchartów, do gmin 1,500,000 i do osób prywatnych 544,600 juchartów.

Pomimo, że gospodarka leśna prowadzona tu jest bardzo porządnie, stosunkowo do naszej chociażby, (wyłączamy od wszelkiego porównania lasy litewskie, gdzie żadnej gospodarki leśnej niema, choć i są nad, pod i wprost leśnicy), ogólne narzekania na zaniedbanie, na wyłączne zajęcie się przemysłem fabrycznym, na brak robotnika leśnego ciągle dają się słyszeć.

d. n.

Poznań dnia 27 lutego 1876 r.

Znacie szanowni czytelnicy nasz stary gród już to z geografii, już to z historyi naszego kraju, już to wreszcie ze słyszenia. Nie uwalnia to jednak myślę, waszego korespondenta, od napisania w pierwszym liście króciutkiego curiculum vitae tego grodu i zaznajomienia z jego teraźniejszą fizyognomią. Nie tylko nowość zaciekawia. Często np. o starych naszych znajomych jedno i to samo kilka razy słyszymy a pomimo to nie zawsze odpowiemy panu Jowialskiemu: „słyszeliśmy!“ Otoż i wy powstrzymajcie się na ten raz, chociaż przez grzeczność, od tego wyrazu, którego się korespondenci pism — początkujący, boją jak ognia, ale na który wytrawni i tak zwani *stali* wcale nie zwracają uwagi... A więc dla czego? Oto dla tego, że warszawskie redakcye płacą honorarium *od wiersza*, im tedy więcej wierszy, tym więcej honorarium. Co to szkodzi, że czytelnik po przeczytaniu wstępu powie: „słyszałem,“ od środka korespondencyi zacznie ziewać, a przy końcu jej, albo jeżeli dłuższa to i przed końcem zaśnie? To nic nie szkodzi, i owszem, wielu jest ludzi, którzy czytania używają zamiast opium lub morfiny, inni zamiast kwiatu lipowego lub rumianku, inni wreszcie... ale dajmy temu pokój, to już wchodzi w zakres nudzący. Przejdźmy lepiej do naszego Poznania.

Poznań leży pod 52° 24′35″ szerokości północnej a 34° 36′ 10″ wschodniej długości. Kto się zna na tych znakach i cyfrach, bardzo łatwo go sobie na mapie Europy odszuka, a kto się nie zna, to także odszuka, jeżeli zechce rozumie się. Średnia temperatura + 6,23° R., a więc mniej więcej taka jak jest w Londynie, Astrachaniu i Filadelfii, do której nawiasem mówiąc kilku tutejszych przemysłowców posłało swoje wyroby na wystawę, i do której, także nawiasem mówiąc, warto ażeby królewska prokuratorya—posłała swoje, prawdziwie *własne wyroby*. O tem wszystkiem zresztą później. Teraz oprowadzę was szanowni czytelnicy po mieście. Miasto Poznań stolica niegdyś całej Lehii, później książąt i wojewodów wielkopolskich, jest jednem z najstarszych miast dawnej Rzeczypospolitej! Nie wiedząc jednak o tem, trudno z dzisiejszej fizyognomii miasta domyśleć się czegoś podobnego... Dziś jest ono opasane fossą i wałem fortecznym, na pierwszy rzut oka zdradzającemi najnowsze wyniki inżynieryi wojskowej, ulice choć krótkie i pod rozmaitemi kontami przecinające się, są proste, dość szerokie i porządnie zabudowane. Między domami gdzieniegdzie tylko staruszek zgarbiony lub wyprostowany jak żołnierz, świadczy wymownie swoją postacią, że nie jeden już wiek przeżył. Do najstarszych gmachów Poznania, a zarazem i najpiękniejszych niezaprzeczenie należy ratusz. Nie jest zbyt wielki, lecz zachwyca przepyszną zgodą kształtów. Przypuszczają, że musiał on być jedną z pierwszych budowli Poznania, a więc w XIII wieku wystawiony. Po zgorzeniu w części był odbudowany w r. 1508. Wieża jego raz (w r. 1675) się spaliła, drugi raz (w r. 1725) spadła w czasie burzy. Naprawiono ją dopiero za Stanisława Augusta.

W budowie tej rozróżniamy dwa style: front i sklepienie pierwszego piętra są wykonane w najczystszym stylu odrodzenia, w przednich sklepach i niektórych drzwiach parteru przebija się wyraźnie styl gotycki. W głównej facyacie widzimy na ścianie w znacznej części już zatarte wizerunki królów polskich. Na pierwszym piętrze znajduje się sala dziś rozdzielona na dwoje, która zwraca na siebie uwagę tak ogromem jak i pięknością sklepienia; a także sala posiedzeń magistrackich, która mieści w sobie malatury na wzór jednej ze sal Watykanu. Widok z pierwszej galeryi wieży na 106 stóp, i drugiej na 123 nad poziom rynku—prześliczny.

Przed ratuszem znajduje się pręgierz z r. 1535, któren był używany do r. 1849, i fontanna wybudowana w r. 1766 na wzór włoskiej znajdującej się w willi Ludovici pod Rzymem.

Ze starych zabudowań zasługują jeszcze na uwagę zamek książęcy, stara zbrojownia, odwach i waga miejska. Zamek stanął w roku 1253, po spaleniu którego odbudowano daleko okazalszy w 1536 r. Lecz i ten zniszczony został za drugiej wojny szwedzkiej, dopiero później za Stanisława Augusta znówu odbudowany do dziś dnia się zachował. W zamku tym podczas swojej bytności w Poznaniu zamieszkiwali królowie, tu zbierała się szlachta województw poznańskiego i kaliskiego, w celu porozumienia się względem nowej elekcyi. Tu były sądy starościńskie czyli grodzkie, tu na podwórzu ścinano winowajców ze stanu rycerskiego. Zbrojownia zbudowana jest w XVI wieku. Ongi była pełną dział wszelakiej broni, dziś fabryka octu. Odwach zbudowany w 1787 r. Oddany na użytek pod warunkiem, że nic w nim zmieniać niewolno. Waga miejska pochodzi z XV wieku.

Najpiękniejszą część miasta stanowi plac Wilhelmowski, obsadzony drzewami i naokoło otoczony pierwszorzędnemi sklepami. Plac ten służy do parad wojskowych, na nim wznosi się pomnik spizowy wyobrażający lwa, wystawiony na pamiątkę ostatniej wojny z Francyą. Przy placu tym zwraca naszę uwagę: wspaniały gmach o pięknych korynckich kolumnach, to biblioteka Raczyńskich, darowana miastu przez zacnego i prawdziwej obywatelskiej zasługi ś. p. Edwarda Raczyńskiego. Biblioteka ta oddana do użytku publiczności codziennie od godziny 5-ej do 8-ej wieczorem. Do biblioteki miała przytykać galerya obrazów, ale niestety obrazy hrabiego podobały się Berlinowi i dziś tam w pałacyku przy bramie Brandeburskiej znalazły siedlisko. Z najnowszych gmachów publicznych zasługuje na uwagę Bazar i Teatr polski. Pierwszy i drugi wybudowane są na akcye. Bazar, można powiedzieć, koncentruje wszystkie sfery tutejszego społeczeństwa. Mieści w sobie hotel, sale balowe i do zjazdów służące, wiele handlów i sklepów. Teatr polski ukończony dopiero w roku zeszłym, jest niewielki lecz bardzo gustownie, wygodnie i odpowiednio wszelkim warunkom scenicznym urządzony. Z nowych budowli jest on bezwarunkowo najpiękniejszym w tutejszym mieście, tylko dziwnie skromny czy nieśmiały, bo zamiast stanąć na widok, schował się w podwórzu. Wartoby was jeszcze szanowni czytelnicy oprowadzić po niektórych kościołach i pokazać wam drogocenne pamiątki, ale cóż kiedy Warta taka niegrzeczna, że się podniosła wyżej mostu i uniemożebniła przejście na drugą stronę, gdzie właśnie względnie do was znajduje się katedra, a do której „z wieku i urzędu“ należy się zajrzeć najpierwej. Tak więc musimy zostawić tę przechadzkę na później, a teraz przypatrzmy się tej niegrzecznej Warcie. Trudno ją poznać! Przed kilku jeszcze dniami szła sobie najspokojniej swoją drogą i nikogo nie zaczepiała, jeżeli tylko jej nikt nie zaczepiał, a dziś!... Pozalewała wszystkie nadbrzeżne ulice, wdziera się do domów, lu-

dziska biedni muszą się wynosić, uciekać jak przed Niemcami, szaleje, ryczy, pieni się i wścieka... most staruszek, który jeszcze pamięta czasy księstwa warszawskiego obciążył się kamieniami ażeby ostać się przed zaporem kry, która przed nim góry lodowate formuje, tłumy się ciekawych zbiera, hałas i krzyk jak przy pożarze! a to przecie powódź!... Ale nie tylko naszemu miastu Warta się tak przysłużyła. Zewsząd z prowincyi dochodzą skargi na nią i na jej siostrzyce. Dawno już ludzie nie pamiętają tutaj takich powodzi jak w tym roku. Na drodze żelaznej Kluczborsko-Poznańskiej została przerwana komunikacya z powodu zniesienia mostu i nasypów w kilku miejscach.

Jeszcześmy się nie pozbyli i na długo zapewne nie pozbędziemy okrutnych skutków niepamiętnych w dziejach przesilenia finansowego, a ta znowu klęska w bieżącym roku nam grozi. Na wiosnę mają się rozpocząć na wielką skalę roboty około budowy fortów. Czyż można było produkcyjniej użyć miliardów francuzkich jak na fortyfikacye, broń, amunicye i t. p. piękne rzeczy!? W około Poznania ma być wybudowanych aż 12 fortów oddalonych od fortecy o ½ do ¾ mili. Dodać tu jeszcze trzeba, że dla dowozu materyałów do budowy, będą się sypały naumyślnie drogi, żwirówki. Zważywszy to wszystko, łatwo sobie możemy wyobrazić ile to potrzeba będzie na to rąk, a gospodarstwo wiejskie i tak cierpi tutaj na brak czeladzi stałej i najemnika w czasie letnich robót.

Ale w środku miasta t. j. w obrębie wałów nikt i myśleć nie chce o budowaniu się, tyle bowiem w ostatnich czasach nabudowali, że od Nowego Roku zostało przeszło 70 mieszkań nie zajętych.

Na początku zaś tej niniejszej korespondencyi zapowiedziałem, że dziś ograniczymy się tylko na obejrzeniu po wierzchu naszego grodu, nie mogę jednak nie wspomnieć choć w kilku słowach o niektórych instytucyach naszych publicznych, zastrzegając sobie podanie szczegółów o tych w następnej korespondencyi. Przy końcu ubiegłego miesiąca odbyło się walne zebranie tutejszego towarzystwa przemysłowców, z funduszów którego (przeważnie) utrzymuje się tutaj, *szkoła wieczorna.* Otóż jak widzimy ze sprawozdania towarzystwa w lutowym półroczu było w tej szkole uczniów 34, w zimowem zaś 43. To trochę za mało! Członków towarzystwa jest 362.

W marcu 8 i 9 odbędzie się walne zebranie towarzystwa centralnego rolniczego. Towarzystwo to ze wszech miar pożyteczne dla kraju, zasługuje na szczególniejszą uwagę. Mamy tu jak wiecie Towarzystwo przyjaciół nauk poznańskie, a niedawno, bo w końcu zeszłego roku zawiązało się towarzystwo archeologiczne w Toruniu. Lecz o tem wszystkiem potem.

Piskorz.

PRZYCZYNKI DO RACYONALNEJ PEDAGOGII

zebrał

A. Szymański.

III.

Jakim jest u nas wpływ pierwszej nauki na indywidualność dziecka.

Teraz gdy wiemy już, że w każdem dziecku istnieją pewne jemu tylko właściwe cechy, gdy wiemy, jak ważną rolę w domowem wychowaniu odgrywa umiejętne tych cech poszanowanie, wypada nam z kolei uwydatnić ważniejsze błędy popełniane w tym względzie przez naszych wychowawców... Rozpatrzenie zasad, któremi rządzą się w swem postępowaniu nasi pedagodzy, uwolni nas od możności powtórzenia tych samych błędów przy wskazywaniu dodatniejszych sposobów postępowania, a dalej jeszcze, uprzednie zbadanie zasad naszej praktycznej pedagogii, oprócz wskazanej korzyści zapewni nam i tę dogodność, że schodząc odrazu na grunt realny, rozglądając się w smutnej rzeczywistości i później już, gdy wypadnie nakreślić nowe plany, wytknąć nowe teoretyczne zasady, będziemy niejako zmuszeni nie oddalać się zbyt daleko po za granicę owego realnego gruntu, stać zawsze, o ile się da najbliżej, przy owej rzeczywistości, a taki charakter przedewszystkiem radzibyśmy nadać swym „Przyczynkom.“

Jakkolwiek siewcy pierwszej nauki nie kierują się w swem nauczaniu żadnemi zasadami i o sposobach skutecznego zaszczepiania tej nauki nie mają żadnego pojęcia, to jednak sama różnica pomiędzy dziećmi „tępemi“ i zdolnemi spowodowywa, że system pierwotnego nauczania rozpadł się również na dwa działy, odznaczające się między sobą, zasadniczemi osnowami swej treści. I bardzo naturalnie. Najgorszy nauczyciel, najniedołężniejszy guwerner musi inaczej postępować z dzieckiem zupełnie tępem a inaczej z dzieckiem jako tako rozwiniętem w tem lub owem kierunku. Są jednak niektóre błędy stosowane zarówno do obu rodzajów dzieci, do takich należą: zbyt wczesna nauka, zbyt długa nauka i nauka nie zastosowana do pojęć dziecka. Wady te jako ogólne, były już w naszej pedagogicznej literaturze drobiazgowo rozpatrywane, a ś. p. A. Jeske w swych pracach zwrócił na nie wyłączną uwagę, dla tego też nie będziemy tu powtarzać rzeczy wiadomych, a ograniczymy swą rzecz wyłuszczeniem tych szczególnych zasad, które są tylko stosowane do jednego lub drugiego rodzaju dzieci. „Moje dziecko tępe“! Komu tylko nie obca treść spraw ludzkich, to zrozumie dokładnie ile bólu sprawia rodzicom pierwszy taki wykrzyk. Komu choć trochę te codzienne sprawy nie są obce, ten wie, ile łez pocichu wylanych, ile nocy bezsennych okupiło już popełnione nieświadomie w wychowaniu dziecka błędy. To pierwsza kara za niesumienne spełnianie swych obowiązków.

Wśród tych łez jednak, wśród tych pierwszych trosk o przyszły los ukochanego dziecka, tam daleko, daleko ukazuje się biednym odzicom jaśniejszy punkcik, jako jedyna deska ocalenia; punkcik ten—to pierwsza nauka. Na tej nauce skupiają się jeszcze raz wszystkie wymarzone i zawiedzione już nadzieje, jeszcze raz gorączkowa wyobraźnia odbudowywa na niej rozbity kryształowy gmach przyszłego szczęścia i spokoju:—„Zobaczysz, mój drogi! mowi matka, przyciskając twarz malca do piersi, zobaczysz, Bóg nas pocieszy i gdy Józio zacznie się uczyć, to z latami *wyrośnie* z tego, *nabierze powoli* rozumu i rozgarnięcia, a sądzę że i ten nauczyciel którego sprowadzimy, jeżeli rekomendacya jest prawdziwą, *potrafi coś z niego zrobić.*“

Panowie nauczyciele! gdybyście wiedzieli ile nadziei na was się opiera, gdybyście zechcieli zrozumieć na ile kawałków rozszarpujecie serce matki, odzierając je bez litości z najdrobniejszych złudzeń, rozbijąc barbarzyńską ręką po raz drugi na waszych głowach odbudowany pałac? gdybyście to wszystko choć w setnej części odczuli? wierzcie mi 99% z was rzekłoby się dobrowolnie swych obowiązków i uczułoby z tego prawdziwe zadowolenie. Na nieszczęście stron obu tak nie jest. Ludzie nie mający żadnego wyobrażenia o racydonalnem nauczaniu dzieci, stanowią przeważny procent w liczbie naszych domorosłych pedagogów i tym ludziom powierzoną bywa owa tak długo oczekiwana pierwsza nauka. Jak się ta nauka odbywa? Czem się posługuje dla dojścia swych szlachetnych celów? wiadomo każdemu. Rozmaitego rodzaju kary, straszenie szewcem, kominiarzem, egoizm indywidualny, nierozumna miłość matki, oprócz wielu innych oto ważniejsze środki za pomocą których, każde tępe dziecko ma się przekształcić na rozgarniętego młodzieńca.

Bez żadnych poprzednich przygotowań, bez żadnych objaśnień i wykładów słownych, z zupełnem wykluczeniem nauki poglądowej, zaczyna się sucha nauka czytania, pisania, arytmetyki, religii i geografii. Naturalnie nikt się nie zniża do pojęć dziecka, nikt nie przemawia doń językiem zrozumiałym, a każda nauka podaje mu się w tej ostatecznej formie, na wytworzenie której nie jeden człowiek, nie jeden umysł się składał, ale która istnieje obecnie już jako rezultat tysiącletnich zabiegów i wysiłków całej ludzkości, jako treść ostateczna rozwijającej się całemi stuleciami myśli. Czyż zatem podobna przypuścić, aby dziecko a tem bardziej „tępe“ mogło zrozumieć, że „wiara“ np: „jest to dar boży i *światło nadprzyrodzone*, którem *oświeceni*, uznajemy za *nieomylną* prawdę to wszystko, co *Kościół* do wierzenia podał“ Podany przykład ma na celu *jedynie* wytknięcie metody której ogólnie a *we względzie religii szczególniej*, trzyma się nasza pedagogija i t. d. Nie, nie pojmie. A jednak nauczyć się musi. Wiemy, że aby w głowie czyjejkolwiek mogły powstać pojęcia, potrzeba na to wrażeń. Same przez się zjawić się one tam nigdy nie mogą, gdy zaś dzieci nasze uczymy w ten sposób, że każemy im myśleć o tem, czego w ich głowach nie ma, zrozumieć to, czego w żaden sposób zrozumieć nie mogą, nie dziwmy się, że dzieci przestraszone syzyfową pracą uczyć się nie chcą. Na to jednak nie zwraca się żadnej uwagi i aby wzbudzić chęć do nauki, aby *napędzić* rozumu, pedagogia nasza ucieka się do środków pomocniczych, t. j. do kar

rozmaitego rodzaju; jest to tak zwane *przeparcie*, o którem mówiliśmy wyżej. Do kar tych od czasu do czasu dodają się groźby *oddania gałgana do szewca, do pastucha* i t. d. Postępowanie takie zmusi wprawdzie nieraz do bezmyślnej nauki, ale raz na zawsze jak przepaść stanie pomiędzy osiągniętym rezultatem a zamierzonym celem; mowiąc wyraźniej, środki użyte do wykształcenia człowieka osiągną to tylko, że pomiędzy wytworzoną w ten sposób istotą a rzeczywistym człowiekiem, okrom cech zewnętrznych nie dopatrzymy żadnego wewnętrznego pokrewieństwa, a co gorsza, nie znajdziemy nawet możności powstania tego pokrewieństwa i w życiu późniejszem. Matka, jeżeli jej wpływ niewielki, ogranicza się tylko zmuszaniem dziecka do klepania częstych modlitw i pacierzy, celem wyproszenia sobie u Bozi owych nieszczęsnych zdolności; jeżeli zaś wpływ matki jest znaczniejszy, co się częściej zdarza, w takim razie następuje tak nazwane przez nas przeciwdziałanie t. j. zbytnia surowość jednej strony, unicestwia się ostatecznych granic sięgającą pobłażliwością, strony drugiej. Sprowadza to jeszcze gorsze następstwa: Chłopiec ostatecznie nietylko znienawidzi naukę ale i nauczyciela, nie tylko nie spełnia rad matki ale lekceważy je najzupełniej. Dodać jeszcze należy że cała nauka przedstawia się tym dzieciom jako środek urzeczywistnienia wszystkich egoistycznych zachcianek, nigdy zaś jako środek uszlachetnienia człowieka [1]).

Takiem jest nasze postępowanie z dziećmi tępemi. Nie o wiele szczęśliwsze są dzieci „szczególne;“ prawda, nie są może one tak często narażane na dotkliwe kary, nie są może tak często traktowane w sposób poniżający ich godność osobistą, nie mniej przecież i tu postępowanie nasze wybiegło daleko po za granice rozumu i zdrowego rozsądku i buja dotąd swobodnie w sferach błogiej abstrakcyi. W tych właśnie dzieciach spotykamy to tę, to owę stronę dodatnią, szczególnym zbiegiem okoliczności rozwiniętą w wychowaniu domowem. Dzieci tych jest najwięcej, one więc przedewszystkiem winny być przedmiotem każdej pedagogicznej pracy.

Rzecz szczególna, że fakt tak często w życiu codziennem napotykany, dotąd nie zwrócił na siebie bliższej uwagi ludzi myślących a tem bardziej pracujących na polu pedagogii; przeciwnie, umysły nieraz bardzo poważne i jednostki głębiej myślące, nie przyznawały nawet samego faktu istnienia dzieci tak zwanych „szczególnych“ „wdanych,“ „dziwnych“ i nawet „genijalnych“ i sam ten fakt przyznawali jako istniejący tylko w wyobraźni matek, ciotek i tym podobnych istot. Umysły nieraz bardzo poważne, powtarzamy to z przyciskiem, nie tylko nie przyznawały samego faktu istnienia podobnych dzieci. ale wystawiały na śmieszność, obrzucały ironią nieraz bardzo bolesną tych, który patrząc jakoby tylko przez pryzmat miłości macierzyńskiej, ośmielili się wyrzec kiedykolwiek, że dziecko odznaczało się temi a temi zdolnościami, że zdolności te w podziw wprowadzały wszystkich bliżej znających owo dziecię. Tymczasem tak jest rzeczywiście. Dzieci takie istnieją, dzieci takie są w każdym prawie domu.

A więc dla czego, zapytacie teraz czytelnicy, z tych dzieci nie mamy ludzi dzielnych? Na to daliśmy już odpowiedź: Ludzi dzielnych z nich nie mamy, dla tego że z tych przypadkowo zdobytych skarbów korzystać nie umiemy, że większość ich marnieje pod ciężkiemi uderzeniami pierwszej nauki, większość w tej pierwszej nauce ginie bezpowrotnie. Tu leży przyczyna tego zjawiska, dla czego fakt tak powszechny nie zwrócił na siebie dotychczas naszej uwagi. Wszyscy słyszą ciągłe zachwyty nad dziecinną mądrością, nad jakąś szczególną zdolnością tych dzieci, a nikt nie widzi aby ta mądrość, te zdolności ujawniały się w życiu późniejszem, w obec więc tego wszyscy chętnie zgadzali się, że owe zdolności, owe szczególne przymioty dostrzegane w dzieciach, są tylko fikcyą w umyśle matek i ciotek powstającą.

J. Rambouson w dziełku swem [1]) przytacza następujące słowa Montaignea „wiemy jak bardzo rozkoszne, jak obiecujące są małe dzieciny we Francyi, lecz gdy dojrzeją, gdy z nich ludzie wyrosną, wszelkie pozory, cała doskonałość gdzieś się podziewa i prawie powszechnie oczekiwania nasze doznają zawodu. Słyszałem od ludzi fachowych, że to szkoły, do których ich oddajemy, są powodem takiego ich moralnego upadku, tak ich zniedołężniają [2]).

Fakt zaobserwowany przez Montaignea we Francyi ma również i u nas miejsce, a kto wie tylko czy nie szerszą skalę. I u nas każdy, komu nie obce dobro publiczne, może zapytać: „Nauczyciele i pedagodzy, co robicie z naszemi dziećmi? Dla czego wyrządzacie i im i społeczeństwu tak wielką krzywdę? bo i u nas jak i we Francyi spotykamy rozkoszne i wiele obiecujące dzieci, lecz i u nas gdy te dzieci dojrzeją, oczekiwania nasze doznają bolesnego zawodu.“

Rambouson wskazując na ten smutny objaw życia swego społeczeństwa, nie objaśnił go dokładnie.

Sprawa to wielkiej wagi, zatrzymamy się więc nad nią trochę dłużej.

Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że w szkołach publicznych wychowanie i cała nauka mają na względzie tylko dziecko przeciętne; ani wyróżniające się zdolności, ani zbyt słaby umysłowy rozwój dziecka, nie są w tych szkołach uwzględnione. Tak samo zupełnie ma się rzecz i z pierwszą nauką w domu i tu również jak tam nauczyciel zauważywszy jakąkolwiek doskonałość w dziecku, nie uważa za swój obowiązek pracować nad jej dalszym rozwojem a zużywa tylko cały zasób swej wiedzy, na wytworzenie owego przeciętnego dziecka, t. j. stara się wyłącznie o rozwinięcie słabych stron swego wychowanka. Byłoby to bardzo piękne, gdyby nie jedno *ale*.

Otóż to *ale* jest tego rodzaju, że guwerner nie umie systematycznie rozwinąć słabych lub zupełnie uśpionych sił dziecka i naturalnie nie rozumnie przystępując do swego zadania, na samym zaraz wstępie wzbudza w dziecku tylko wstręt i odrazę ku danej sferze umysłowej działalności; z drugiej znowu strony, mając na celu tylko owo dziecko przeciętne, rozwinięte w nim pod pewnym względem zdolności przyznaje jako wrodzone, i tem samem wyklucza z wychowawczego programu wszystko, co tylko mogłoby tym zdolnościom zapewnić stały i prawdziwy rozwoj. W taki to sposób zaczyna się systematyczna praca nad zamianą owych zadziwiających i uciesznych dzieci w bezbarwne i idiotyczne osobniki, będące cechą naszego społeczeństwa. Odbierane bezładnie nowe wrażenia, abstrakcyjne uogólnienia nie zastosowywane do pojęć dziecka, nie mogą rozbudzić do życia żadnej umysłowej i duchowej siły w dziecku, a dawniejsze znowu jako tako rozwinięte pojęcia, nie odświeżane nowemi wrażeniami, coraz to bardziej zatracają swą pierwotną żywą barwę, coraz to niklejszym błyszczą swiatłem aż dopoki zupełnie nie zetrą się z umysłowej tablicy. Jako rezultat nauki pozostają: nowy chaos i systematycznie wypracowane pustki. Czego zaś nie zdąży spaczyć pierwsza nauka, tego już mimo woli ostatecznie dokona szkoła.

Dobrze to jeszcze, gdy owe zdolności dziecka, jego najlepsze i najszlachetniejsze siły tylko zatarte pozostaną, zwykle zdarza się jeszcze gorzej; pozostawione bez żadnej opieki, a wcześnie rozwinięte umysłowe siły dziecka najczęściej skierowywują się w zupełnie przeciwną stronę, i wtedy siły dodatnio rozwinięte zaczynają się rozwijać w kierunku wręcz przeciwnym—ujemnym. Najnowsze badania natury człowieka wykazują, że jedną z niezbędnych potrzeb tego człowieka jest potrzeba wrażeń—wrażenia te udzielają się nam za pomocą ruchów lub drgań dokonywanych w naszych nerwowych włóknach. Widzimy z tego że potrzeba wrażeń zawarunkowana jest potrzebą ruchu t. j. jedne bez drugiego istnieć nie mogą. Wrodzona potrzeba wrażeń i ruchu wtedy, gdy dziecię władało swobodnie jedną ze szczególniej rozwiniętych sił swego umysłu, w sile tej znajdowała znakomite źródło z którego wysnuwać mogła coraz to nowsze obrazy, w którym zawsze znaleść mogła jakiś nowy poruszający motor.

Jeżeli zatem bez tych wrażeń, bez tych ruchów ciągłych, człowiek nie tylko myśleć ale i żyć nie może, to gdy odejmiemy dziecięcemu umysłowi najdogodniejszą arenę dla jego codziennych ćwiczeń, gdy pozbawimy go jedynego pola, na którym umysł ten z zupełną swobodą zaspokajał swe konieczne codzienne potrzeby, nie należy się dziwić, że dziecko *musi* wtedy odnaleść dla siebie nowe źródła ku zaspokajaniu jego codziennych potrzeb służące, musi wynaleść nowe pola, na którychby jego umysł również swobodnie jak i dawniej mógł wyprawiać swe codzienne harce t. j. ruszać się. A gdy wszelkie drogi ku wrażeniom dodatnio działającym są szczelnie zamknięte, gdy z dróg tych pierwsza nauka ze stoicką cierpliwością wyparowywa dziecinny umysł, wtenczas rad nie rad, *aby zaspokoić swe naturalne potrzeby, szuka on wrażeń ujemnie nań oddziaływających i ku nim skierowywa cały zasób sił które posiada.* W ten sposób dzieci

---

[1]) O tem mówiliśmy obszerniej w r. z. w artykule; „Cnoty publiczne.“

[1]). Wychowanie macierzyńskie, przekład Jadwigi Ochorowicz Warszawa 1873 r.
[2]) str. 43.

rokujące najświetniejsze nadzieje, obiecujące swym rodzicom złote góry prawie, po paru latach nauki nie tylko tracą swe dawne zdolności, ale psują się i nabierają wstrętnych. Czy one są winne?

Niech już każdy z was sam sobie na to odpowie.

d. c. n.

Z PAMIĘTNIKÓW
NAUCZYCIELA DOMOWEGO.

Nigdzie zapewne teorya nie wciela się tak powolnie w praktykę jak w wychowaniu. Ludzie co zbyt wierzą w potęgę słowa i w ogóle rozumowania, tu najdotykalniej przekonać się mogą, jak niepozorne miejsce zajmuje *słowo* w dziedzinie życia, jak słabo działa tu logika myśli; bo czyny rodzą się z czynów tylko, a słowo, w logice faktów jest tylko ich spójnią i otoczeniem atmosferycznem, jeśli można się tak wyrazić.

Teoretyk u nas prawie zawsze musiałby rozedrzeć szatę przy zetknięciu z praktyką, na widok sprzeczności najostatniejszych zasad pedagogicznych, z powszechnym stanem domowego wychowania.

To co znajdujemy w książkach traktujących jakąkolwiek gałęź pedagogii, prawie zawsze wydaje się wprost ironią tego, co przedstawia rzeczywiste wychowanie młodego pokolenia w rodzinach naszych, wydaje się jak gdybyśmy czytali piękny naukowy traktat o rolnictwie, mając przed oczami nędzną trzypolówkę, prowadzoną bez dbałości, kapitału i inwentarza. Pessymizm teoretyka nie znałazłby tu granic, gdyby na dzieje naszego wychowania wśród rodzin, spoglądał tak jak oderwany od świata ascetyczny moralista, na żywot zwykłych śmiertelników. Inaczej tu patrzeć musi człowiek wytrawny, znający ludzi bez idealistycznych obsłonek, inaczej też zachowa się pedagog od lat wielu przewracający twardą glebę praktyki. Nie wymagajmy nigdzie za wiele, bo nic nie otrzymamy; nie gniewajmy się próżno na przyrodzony ład rzeczy ludzkich. Ogarniając okiem całą wielkość, czując głęboko całą piękność ludzkich ideałów, nie pragnijmy bohaterskich zdobyczy w życiu, które nie znosi gwałtownych przeskoków, lecz szukajmy drobnych a ciągłych nabytków, nie zrażając się nawet zbyt niską skalą warunków pracy w obec wzniosłych wymagań idei.

Myśl ta stosowana do rozmaitych widoków towarzyszyła mi w podróży na nowe koczowisko tułaczej mojej *belferki*. Wiadomości które zdołałem powziąć o tem nowem polu czekającej mnie pracy, pozwalały mi na danych przypuszczeniach budować obraz jej prawdopodobny. Różowemi barwami nie szafowałem bynajmniej, przeciwnie, nauczony doświadczeniem, przygotowywałem się do *minimum* korzystnych warunków.

Miejsce nauczyciela w domu zamożnego wdowca na wsi, ofiarował mi zupełnie niespodziewanie znajomy jego, uproszony o wyszukanie *kogoś do dzieci*. Nie dano mi czasu do namysłu i wyprawiono jak najspieszniej by objąć opróżnione od paru miesięcy stanowisko.

— Wynagrodzenie przyzwoite, wymagania nie wielkie, w domu dostatnio i wesoło, ojciec przyszłych uczniów pańskich jest bardzo rozsądnym, miłym i wykształconym człowiekiem, lepsze miejsce trudnoby znaleść — mówił mi uproszony pośrednik przy *zgodzie*. Prosiłem o bliższe szczegóły co do składu domu, wyobrażeń gospodarza, charakteru moich poprzedników (bo było ich kilku).

— Sam się pan najlepiej przekonasz, mówił mi protektor bardzo mało wtajemniczony w stosunki o które mi chodziło, zaręczam że P. R. meszać się nie będzie do pańskiej pracy i potrafi ją ocenić. Jest tam wprawdzie jakaś ciocia czy siostra która wiele znaczy, ale od czegóż umiejętność życia?

— Nie o to mi chodzi, wtrąciłem...

— Gdybyś pan był zbyt młodym, radziłbym ubezpieczyć serce przeciw czarnym oczom francuzki, którą tam znajdziesz, ciągnął dalej protektor uśmiechając się poufnie — ale tak, zazdrościć tylko mogę...

— Chciałbym się cośkolwiek dowiedzieć o dzieciach...

— O jakich dzieciach? Ach, uczniowie pańscy. Drobiazg! zwyczajnie jak dzieci, cóż ja panu mogę o nich powiedzieć?

Tyle było słów informacyi. Nieznany wyjechałem w nieznane miejsce, jak to zwykle bywa w mojem powołaniu. Wiedziałem tylko: 1-o że ojciec niewiele się troszczy o wychowanie swego potomstwa, co wreszcie nie bardzo mię zgorszyło, gdyż znam pewnik iż żaden jeszcze ojciec u nas nie wychował swych synów; 2-o że stosunki domowe są dość trudne odnośnie do nauczyciela; 3-o że dzieci są jeśli nie zepsute to zaniedbane, i 4-o nakoniec, że najgorzej były uczone. Pocieszała mnie przecie myśl, że ojciec jest człowiekiem rozsądnym i wykształconym.

Kombinacyami, przypuszczeniami i uwagami na temat myśli położonych na wstępie skracając nudy podróży, zdrzémnąłem wreszcie snem pedagogicznym, twardym a spokojnym, choć nie bez marzeń, jak być powinno. Widziałem się wśród zgrai rozhukanych chłopców, wysilonym daremnie dla zapanowania nad rozpuszczoną rzeszą, w około mnie krążyła groźna ciocia pokazująca w złośliwym uśmiechu długie i żółte zęby, a w dali wśród lipowych szpalerów, przechadzała się urocza czarnooka Francuzka pod rękę z miłym i przystojnym jegomością, a śmiech jej i spojrzenia sprawiały mi przykrość trudną do opisania. W tem o błogości, zatrzymanie się wehikułu zbudziło mię. Znalazłem się przed gankiem wiejskiego dworu, u celu podróży. Estetyczna fizyonomia domu, zabudowań i całego otoczenia miłe sprawiła na mnie wrażenie. Służący w liberyi wyszedł na spotkanie, kazałem się zameldować, niebawem wybiegł do mnie trzynastoletni może chłopczyk blondynek, zgrabny i ładny, ukłonił mi się swobodnie i z gracyą.

— Papa prosi do gabinetu, rzekł oglądając mię badawczo i bez zakłopotania. Wskazawszy mi drogę ruszył przodem poprawiając wijące się włosy. Przyznać muszę iż bardziej czułem się zakłopotanym w przechodzie przez kilka pokoi, niż mój domniemany uczeń.

P. R. w podróżnem ubraniu zajęty był pisaniem. Poprosił mnie siedzieć dowiedziawszy się kto jestem, po co przyjeżdżam—i prosząc o chwilkę czasu kończył swe zajęcie. Miałem sposobność przyjrzeć mu się dokładniej. Był to mężczyzna lat czterdziestu może, arystokratycznych rysów twarzy, nacechowanych pewnością siebie, pięknie zbudowany, pełen elegancyi w ubraniu. Zdawał się zupełnie nie pamiętać o mojej obecności. Synek jego bawił mię rozmową. Pytał jaką miałem drogę, czy mi się podobały okolice, czy lubię jeździć konno. Pytał, nie wiele sobie robiąc z moich odpowiedzi, nie dając mi nawet przyjść do słowa. Tymczasem ojciec jego skończył pisać, spojrzał ku mnie z uprzejmością, przerzucił okiem list rekomendacyjny który mu wręczyłem i rzekł:

— W samą porę łaskawy pan przyjechał, właśnie wybieram się na parę tygodni z domu, więc spokojny już będę o dzieci, mając kogoś, komu w zupełności zaufać mogę.

Przez chwilę patrzał na mnie w milczeniu.

— Panu znane są języki obce?

Na potwierdzającą odpowiedź zadał mi parę pytań po francusku i po niemiecku, i potem już we francuskim wyłącznie języku mówił dalej:

—Prawdziwie wdzięczny jestem memu pełnomocnikowi że pana wyszukał. Warunki w zupełności akceptuję, a nadto zapewniam stosowną gratyfikacyę po przygotowaniu synów do kolegium Jezuitów w Belgii. To mówiąc wstał i podał mi rękę.

— Charle, zawołaj braci! Przedstawię panu chłopców i pożegnam zaraz. Siostra co do szczegółów poinformuje pana...

— Przepraszam pana, rzekłem, nieznany mi był główny warunek, a zatem jeszcze mam czas cofnąć się od obowiązku.

P. R. zdumiony spojrzał na mnie.

— Nie mogę podjąć się przygotowania pańskich synów do belgickiego kolegium.

— A to dla czego?

— Dla tego, ze jezuickim dążnościom nie potrafię tu dać podstawy.

P. R. patrzał na mnie nieokreślonem spojrzeniem zdziwienia, jak gdyby powziął wątpliwość co do zdrowia mego umysłu.

— Zaręczam żeśmy się nie zrozumieli, rzekł zbliżając się ku mnie. Cóż znowu? Cenię w panu szczerość przekonań, ale proszę nie uprzedzać się co do moich opinij, nie są one ani potwornie przesądne, ani przeciw obywatelskie. Projekt zresztą oddania synów do Belgii nie jest wcale moim artykułem wiary. Porozumiemy się, z pewnością porozumiemy, dodał dotykając z lekka mego ramienia.

A otóż i siostra i reszta pańskich uczniów.

Po bardzo lakonicznem przedstawieniu p. R. rad jak najspieszniej pozbyć się uciążliwej formalności, pożegnał się i wyszedł, zamieniwszy na stronie kilka słów z siostrą.

Przeszliśmy do poblizkiego saloniku. Sio-

stra pana R. usiadła na miejscu prezydyalnem, otoczona swemi wychowańcami i wskazawszy mi pobliskie miejsce zabrała głos.

Nie była to osoba tak straszna jak mi przedstawiało senne marzenie, owszem osóbka nie wielka, szczupła, bardzo skromnie ubrana, z twarzą nic nie mówiącą wprawdzie, lecz bardzo przyzwoita, z przymróżonemi oczkami i zawiędłym rumieńcem. Dwaj chłopcy nie znani mi jeszcze usiedli na stronie, studyując mię bacznie. *Charle* oparty o poręcz krzesła spoglądał kolejno, na mnie, na ciotkę i w lustro.

— W młodości mojej, mówiła siostra gospodarza domu, zajmowałam się wychowaniem córeczek kuzynki naszej księżnej X., od lat paru dzieciom mego brata zastępuję matkę, przeto czuję się w prawie przemawiać do pana jako koleżanka doświadczeniem nauczycielskiem i jako matka przyszłych jego uczniów.

Skłoniłem się w milczeniu.

— Marzeniem mojem było osobiście i wyłącznie zająć się kształceniem dzieci brata, lecz zajęcia innego rodzaju, nie dozwalają mi zadość uczynić życzeniom serca, z konieczności więc muszę zdać część swych obowiązków na osoby obce; przyznasz pan sam, częstokroć niedość sumienne i kompetentne. Kto czuje całą doniosłość kwestyi wychowania, komu ona nie jest obcą, kto sercem związany jest z wychowańcami, temu pojąć łatwo jak cierpieć musi widząc niebezpieczeństwo, braki, usterki co krok widoczne, którym zapobiedz nie zawsze można. Wypowiedzieć byłoby trudno com przebolała przez tę parę lat, jak trudno było mi dobrać osób godnych zaufania, nie mówię już do moralnego kierunku dzieciom, bo ten dla siebie zostawiam wyłącznie, lecz do nauki. Bo czyliż można ustrzedz tych nieznacznych a zgubnych wpływów, jakie wciskają się do młodziutkich serc i głów za lada słowem ludzi złych, niesumiennych, lub nieumiejętnych? Mówię panu to wszystko, bo chlubna opinia za nim przemawia i nie wątpię że ręka w rękę iść będziemy do wspólnego celu. Aby pana obznajmić z memi poglądami na wychowanie, dodała żarliwa opiekunka ze skromnym uśmiechem, ośmielę się dać mu do przejrzenia rękopism—moją niedołężną pracę... Tymczasem zaś chcę panu w krótkich słowach przedstawić charakter elewów, oraz zapoznać z dotychczasowym systemem nauczania.

— Eh, niech już ciocia tę prefacyę zostawi na potem, odezwał się *Charle* z niecierpliwym gestem. Co tu dużo mówić? Wiem przecie dobrze, że trzeba się uczyć aby zająć w świecie odpowiednie stanowisko, a te wszystkie morały to....

— Karolku! zawołała ciotka.

— Niech się ciotunia nie gniewa, z zaniedbaną jakąś pieszczotą wymówił chłopiec, ale ja widzę że i p. N. się nudzi. Lepiej byśmy się przejechali konno. Pan pojedzie nieprawdaż, ciocia pozwoli przecie?

— Nie mój drogi, jestem dziś zmęczony po podróży.

— Co się pan na mnie tak dziwnie patrzy?

— Powiem ci prawdę Karolku — zdziwiło mię twoje zachowanie się.... Zwróciłem się do cioci, prosząc aby kończyła swą mowę. Karolek tymczasem wyszedł, ukłoniwszy się z pewną arogancyą. Tymczasem na twarzy ciotki, chęć okazania gniewu walczyła z uśmiechem zadowolenia.

— Pan się może czuje urażonym? Oj, daruj mu pan ten wybryk, co to za dziecko. Bez przesady powiem panu — gienialne. A serce! On pana za pięć minut przeprosi serdecznie, zaręczam że już teraz ma łzy w oczach i żałuje że mię obraził. Jaka bystrość sądu w tym chłopcu, jaka energia; słyszał pan to zdanie jego o nauce? Przyszły mąż stanu! niewypowiedzianą roskosz znajduję w kształceniu tego charakteru, choć znów z drugiej strony czuję że do tego materyału potrzeba ręki mistrza. Dwojga młodszych usposobienia mało jeszcze wybitne, choć w ogóle obiecujące. Wacio np. jest nadzwyczaj pobożny.

— Waciu, co ty tam robisz? zawołała nagle ciotka.

— Proszę cioci, Wacio przeciął nożyczkami dywan na stole, zawołał monotonnie drugi malec.

— A tyś go nie przestrzegł. Czyliż to nie wiesz że obowiązkiem naszym jest przestrzegać błądzących, że to jest prawdziwym dowodem miłości bliźniego! A Wacio czy to nie pamięta sposobu który mu dałam na odpędzenie pokusy do psot wszelkiego rodzaju? Czyś zapomniał że aniołek w takich razach ustępuje od twego boku, a przystępuje kto inny?

Chłopczyna opuścił nożyczki trzymane w ręku i skwapliwie przeżegnał się z ośłupiałą minką.

Niewarto powtarzać dalszej rozmowy, a raczej przemowy wypowiadanej już to do dzieci już do mnie, powolnego słuchacza; niektóre jej ustępy tylko w skróceniu przytoczę.

— Brat mój, mówiła panna Melania (imię siostry p. R.), nie dość troskliwie starał się o dobór nauczycieli i nauczycielek; z przykrością wyznać muszę iż z jego to własnej winy częste były zmiany osób, a stąd przerwy w nauce, że już o moich osobistych nieprzyjemnościach zamilczę. Proszę tylko postawić się w mojem położeniu. Poprzednik pański był ni mniej ni więcej tylko jawnym ateuszem; w najwstrętniejszy sposób swe przekonania publicznie wygłaszał...

— Jakto, w obec dzieci?

— Bardzo być może, skoro szczególną znajdował przyjemność w propagowaniu swych barbarzyńskich przekonań. Niemało miałam trudu aby go usunąć z domu, gdyż brat lubił go za stanowczość i rzekomą naukę. Przed nim mieliśmy Francuza gorszących obyczajów, przed tym jeszcze brutala bez wychowania, człowieka najokropniejszych manier....

— Przepraszam, wtrąciłem, iluż miałem poprzedników?

— Czterech było przy mnie, a za życia nieboszki jakiś stary dziwak, co się obraził na mnie za to żem była przeciwna jego wyłącznej opiece nad chłopcem.

Przystąpiliśmy wreszcie do szczegółów naukowego programu, i wyznaczenia godzin. Tu spotkałem się z despotycznemi przepisami, których wysłuchałem z zupełnym spokojem.

W godzinach ściśle wyznaczonych mam się zjawiać na lekcye w pokoju przybocznym p. Melanii, aby wykładać *przedmioty świeckie*, podług przybitego tam rozkładu. Katechizm, historya święta, historya kościoła i nauka moralności należy do p. Melanii. Język wykładowy francuski, podręczniki raz na zawsze przyjęte i usankcyonowane, dla jedności systematu.

— Wskazówki dydaktyczne i metodyczne, łaskawy pan znajdzie w rękopiśmie wzmiankowanym, dodała samowładna ciotunia. Nie narzucam ich bynajmniej, ale sądzę że każdy rozsądny człowiek zgodzi się na nie, tembardziej że jedność systematu wymaga tego. Pan się uśmiecha? Czyliżby pan miał coś przeciw? Niesłyszałam jeszcze pańskiej opinii. Proszę!

— Opinii mej wyjawić nie mogę, póki nieznani mi są ani uczniowie, ani ich usposobienie, stan umysłu, potrzeby, równie jak podręczniki i metodyczne wskazówki o których pani wspomnieć raczyła. Zgodzi się pani na to iż *system jest dla ludzi, a nie ludzie dla systemu*, dla tego też, nic stanowczego powiedzieć nie mogę, i sam zresztą nie jestem jeszcze zobowiązany ostatecznie do prowadzenia edukacyi w tym domu....

Najmocniej jestem przekony że słowa te moje, choć z największym spokojem i uprzejmością wypowiedziane, w duszy p. Melanii zabrzmiały pobudką zaciętej walki, tem groźniejszej dla mnie iż skrytej, zamaskowanej dyplomatyczną życzliwością.

Wśród takich to zewnętrznych warunków znalazłem się. Najistotniejsza jednak jeszcze strona przygotowanej dla mnie pracy — t. j. dzieci, były mi prawie nieznane. Do końca dnia nie miałem sposobności zbliżyć się do nich. Spędziłem czas w wyznaczonem mi, bardzo przyzwoitem zresztą mieszkaniu, położonem na przeciw okien wszechwładnej gospodyni domu p. Melanii.

Nazajutrz, w oznaczonej godzinie zjawiłem się w pokoju przeznaczonym na naukę, zjawili się tamże dwaj młodzi moi uczniowie Wacio i Piesio, obładowani stosami książek, kajetów i przyborów naukowych, ale Karola nie było.

Zapytałem o przyczynę nieobecności jego.

— Karolek obraził się na pana, wyrzek Piesio.

Nie byłem na to przygotowany. W takich razach za najwłaściwsze uważam nie przywiązywać żadnej wartości do faktu i nie okazywać wrażenia. Z zupełną swobodą zająłem się dwoma malcami.

Dwugodzinna z nimi rozmowa nie wiele mię nauczyła; żadna wybitna zdolność lub właściwość umysłu, nie uderzała w oczy, chyba tylko nieświadomość najprostszych pojęć i nieumiejętność wysławiania się w żadnym języku. Nawiasem wspomnieć muszę, że podczas tej wstępnej lekcyi słyszałem przez drzwi wysyłanie służących po Karola, szepty, otwieranie drzwi, jako dowód gorliwych zabiegów około sprowadzenia *obrażonego* ucznia. Dwaj jego bracia przez długi czas zdawali się być tą kwestyą zajęci, zanim swą rozmową zdołałem ich zainteresować. Pracowałem usilnie aby odkryć w tych dzieciach choć mały odblask indywidualności. W rzeczach tyczących się nauki nie wiele mogłem się dowiedzieć.

W głowinach tych panował jakiś zamęt na pół rozumianych a raczej licho spamiętanych wiadomostek bez ciągu i ładu, jakieś szczątki frazesów i słów, bez pojęć. Z tej całej mieszaniny niepodobna było wykrzesać jakiego kolwiek zajęcia. Zniżyć się musiałem do treści jak najbardziej powszedniego życia, aby ożywić nieco rozmowę, zniweczyć sztuczność stosunku z uczniami, jednem słowem rozruszać się. Zaczęli mi opowiadać rozmaite drobiazgi z dziejów domowych, bez ładu, tak że sensu trudno się było domyślić, a do tego najgorszą w świecie polszczyzną. Z rozwinięcia umysłowego można ich było wziąć za ledwie zaczynające mówić dzieci.

Piesio ma pociąg do plotek, wkrótce zaczął mi szeptać że Jan lokaj cygara tatce kradnie, że Mania jego siostra brwi sobie czerni korkiem... Wacio słuchał tych opowiadań które starałem się przerwać, z taką minką jakby notował sobie słowa do powtórzenia osobom interesowanym. W odezwaniach się jego i gestach daleko mniej było szczerości, natomiast jakiś brzydki odcień pochlebstwa i zbytnie manifestowanie lojalności.

Przy końcu posiedzenia biedne chłopczyny ofiary ciotuni wysoko wykształconej pedagogicznie, rozszczebiotane, zainteresowane garnęły się do mnie z całą serdecznością dziecinnego egoizmu. Gdy wybiła godzina, starszy ze smutkiem i z pewną obawą wyznał że ciocia kazała im o tej godzinie pożegnać mię i przyjść do niej na lekcyę. Młodszy całując mię obiecał że będzie prosił cioci aby pozwoliła im ze mną chodzić na spacer, a nie z tą szkaradną boną.

Gdym samotnie zamyślony szedł do swego mieszkania, u drzwi spotkałem zaczerwienionego Karola, który czekał na mnie widocznie.

Ukłonił mi się i powiedział dzień dobry, z uśmiechem usiłującym wyrazić że nic nie zaszło niby.

DZIENNIKARSTWO W ANGLII.

(Podług dzieła Granta)

przez

E. Grossa.

(dokończenie).

Pod względem mechanicznym angielskie dziennikarstwo zawdzięcza Walterowi wiele udoskonaleń i zastosowanie pary do druku. Dziesięć lat, z właściwą sobie energią walczył on z tą myślą, i nie zważając na niepowodzenie, nie odstępował od niej. Szukał wynalazców, ułatwiał im robienie doświadczeń i nie szczędził pieniędzy.—1814 r. zgłosił się do niego Saksończyk König ze swoją patentowaną maszyną do druku. Walter dał mu oddzielne pomieszczenie, w którem König wraz z swoim pomocnikiem Baureem w przeciągu kilku miesięcy, pracowali w sekrecie nad udoskonaleniem maszyny. Trudność polegała nie tylko na wybudowaniu maszyny, lecz trzeba było zachować tajemnicę przed robotnikami drukarni, którzy na kilka lat przed tem, o mało nie zabili wynalazcę, grozili, że pozbawią życia każdego, ktoby przez podobny wynalazek, chciał ich pozbawić chleba. Nakoniec maszyna była gotową, można ją było wprowadzić w ruch, była to straszna chwila dla wynalazców. Wieczorem Walter zapowiedział w drukarni, że z Kontynentu są oczekiwane ważne wiadomości a do ich odebrania nie można drukować gazety, o szótej zaś z rana wchodzi do drukarni i ku wielkiemu podziwieniu robotników oznajmia im, że gazeta wydrukowana już na parowej maszynie. Robotnicy kochali Waltera więc się uspokoili.

Zastosowanie pary do druku stanowi epokę w rozwoju dziennikarstwa, ręczny warsztat mógł drukować w przeciągu godziny maximum 450 egzemplarzy, trudno było zadosyć uczynić wymaganiom publiki gdy gazeta Times zaczęła się rozchodzić w 20,000 egzempl. Maszyna Königa drukowała z początku 1,110 arkuszy na godzinę, 1836 r. zrobiono niektóre ulepszenia i drukowała 2,500 arkuszy, następnie 4,000, 8,000 i 10,000, później zaprowadzono w drukarni „Times“ nową maszynę Waltera która w przeciągu godziny drukuje 22,000 do 24,000 arkuszy.

Pod względem ekonomicznym Walter zaprowadził w dziennikarstwie także znaczne ulepszenia, on pierwszy wprowadził w użycie ekspressy, kiedy rząd zaczął mu robić trudności przez zatrzymywanie i nie akuratne dostarczanie korespondencyi, uorganizował własną pocztę, zaprowadził własne parostatki i kuryerów. 1834 r, Durham miał mowę w Glasgowie, wszyscy byli nią zainteresowani albowiem miała ona być rodzajem manifestu ze strony progresywnej partyi. „Times“ wysłał do Glasgowa dwóch lepszych reporterów, a między Glasgowem i Londynem na przestrzeni 400 milowej były rozstawione konie i w taki sposób mowa lorda Durhama została w Timesie wydrukowaną o dzień wcześniej. Podczas ostatniej wojny gdy zaczęto traktować o warunkach pokoju między Francyą a Niemcami, dla znajdującego się w kwaterze niemieckiej korespondenta Dżona Rossela były przygotowane do samego Londynu na drogach żelaznych oddzielnie pociągi, na morzu oczekiwał go parostatek, dla tego, żeby nie było zwłoki w dostarczaniu wiadomości.

Rozumie się że odpowiednio do wydatków i dochód „Timesa“ jest znaczny, choć trudno określić cyfrę czystego dochodu. Ilość stałych prenumeratorów zacząwszy od 1834 r. coraz więcej wzrasta, 1835 r. było 10,000 prenumeratorów, 1844 r. 23,000 1854 r. 51,648, 1860 przeszło 60.000 a obecnie ilość stałych prenumeratorów dochodzi do 70,000. Znaczny dochód dają ogłoszenia—od szpalty pobierają 22 fstr. a że codzienne 7 stronic jest zadrukowanych ogłoszeniami, rocznie wynosi to 260,000 fstr. Jak się z tego przekonywamy „Times“ pod względem finansowym swietnie stoi. Czy ten stan nie zmieni się w przyszłości, jest to wielka kwestya. W 1855 r. zostało zniesione w Anglii, cło stemplowe od gazet a także cło na papier i ogłoszenia, z tego powodu wydawnictwo gazet staniało, a dla Timesa powstała silna i niebezpieczna konkurencya przez wydawnictwo tanich gazet, które sprzedają się po 1 penssy (około 3 kop). Pierwsza gazeta „Daily Telegraph“ obniżyła cenę, zaczęła wychodzić 1855 r. codziennie, w objętości arkusza po 2 pensy za numer. Wydawca jej Sleig człowiek bez kapitałów, wkrótce zbankrutował, a gazeta przeszła do rąk jednego z kredytorów Lewi. Ten zniżył cenę do jednego penssy, co zwróciło ogólną uwagę, gazeta zaczęła się rozprzestrzeniać. Następnie wydawca powiększył format i objętość gazety, artykuły wstępne i inne artykuły „Daily Telegraph“ zaczęły nie ustępować „Timesowi“ z tego powodu gazeta, rozchodzi się z nadzwyczajną szybkością, także w drugiej połowie 1870 r. rozprzedawało się 190,895 egzemplarzy. Obecnie jest to jeden z najbardziej rozpowszechnionych nie tylko angielskich, lecz i amerykańskich gazet. Za przykładem „Daily Telegraph“ poszła niedawno i „Daily News“ założona 1846 r. przez towarzystwo na akcyach. Na gazetę niczego nie szczędzono — była tak uposażoną jak Times, brali w niej udział znakomitości literackie, głównym redaktorem był Dikkens z pensyą roczną 2,000 fst. Lecz gazecie nie powiodło się, znakomity romansopisarz okazał się niezdolnym i w przeciągu kilku miesięcy zrzekł się tytułu redaktora. W przeciągu 12 lat akcyonaryusze stracili 200,000 fst., ale nie tracili nadziei. Cena kilka razy się zmieniała, to 5 pensów, to 3,2$\frac{1}{2}$ nakoniec zmniejszyli ją do 1. Podczas ostatniej wojny wydawcy nie szczędzili kosztów na gazetę, i rzeczywiście wiadomości jakie podawała z teatru wojny odznaczały się dokładnością i akuratnością, to samo trzeba powiedzieć o wiadomościach podawanych, z czasów powstania w Paryżu—a w listach Lebuszera ze stolicy Francyi, mieściło się dowcipne scharakteryzowanie wypadków, czego nie napotykało się w innych gazetach. Wszystko to przyczyniło się do nadzwyczajnego rozpowszechnienia „Daily News,“ Obecnie gazeta ta ma 90,000 prenumeratorów. Tak samo „Standard“ istniejąca od 1827 r. raz zbankrutowała, przechodziła różne koleje, dopiero jak wstąpiła w grono pensy gazet, zaczęło się jej lepiej powodzić i obecnie ma zbyt ogromny, rozchodzi się bowiem od 120,770 do 150,000 egzemplarzy.

Przedsiębiercze angielskie dziennikarstwo nie ograniczyło się jeszcze na pensy gazetach. W Grudniu 1868 r, była założoną gazeta „The Echo“ po $\frac{1}{2}$ pensa za numer, był to krok nadzwyczaj śmiały a nawet ryzykowny, wówczas gdy gazety za pensa prawie w niczem nie ustępowały Timesowi, zdawało się, że tańszej gazety nie podobna było wydawać. Przedsiębiercy włożyli znaczny kapitał, wytrzymali szczęśliwie próbę, gazeta ma obecnie 80,000 prenumeratorów, obiecuje z czasem dawać dobre dochody. „Echo“ ma swoich korespondentów w znaczniejszych miastach Europy, Ameryki, jej przeglądy polityczne i artykuły wstępne, mogły by smiało zająć miejsce w jednej z większych gazet londyńskich.

Do jakiego stopnia jest rozpowszechnione czytanie gazet w Anglii, przekonywamy się z następujących cyfr. W 1853 r. wychodziło codziennie różnych gazet i dzienników 353,914 numerów, obecnie codziennie rozchodzi się Daily Telegraph 170,000, Standard 140,000 Daily News 90,000, Times 70,000, Echo 80,000 i t, d. W ogóle rozchodzi się jednych londyńskich gazet 569,000 egzemplarzy, a po-

nieważ ileść wydawanych gazet w Anglii przewyższa 700, to można śmiało przypuścić, że w Wielkiej Brytanii i Irlandyi, rozchodzi się codziennie gazet i dzienników nie mniej jak 900,000 egzemplarzy na 32,600,000 ludności.

Czemu zawdzięcza angielskie dziennikarstwo swój stan kwitnący? Z jednej strony szczególnym warunkom w jakich się znajduje Anglia, lecz kto wie czy nie więcej swej własnej przedsiębierczości i energii. Zacząwszy od czasu jak dziennikarzy w Anglii bili knutem, stawiali pod pręgierz, trzymali po kilka lat w więzieniu, do ostatniego doświadczenia wydawców Echo, założenia gazety po pół pensa, nie gorszej od Timesa, widzimy tam w dziennikarstwie jeden i ten sam rys,—nie znającą granic przedsiębierczość i wytrwałość, tę dumę cechującą Anglika w przeprowadzaniu swych planów. Walter 10 lat chodzi z myślą jakby wynaleźć parową maszynę do druku? Nie zastanawia się nad tem, czy można, lub nie można jej wynaleźć. Maszyna jest potrzebną i to dosyć żeby była nalezioną. Wydawcy „Daily News" wydali naprózno 140,000 fst. lecz to ich nie smuci, bo powiedzieli sobie że gazeta powinna mieć powodzenie.

Mylą się ci, którzy sądzą, że nizki stopień rozwoju, na jakim się znajduje dziennikarstwo w krajach innych, pochodzi z powodu nieprzyjaznych warunków politycznych; ważniejszą przyczyną jest brak przedsiębierczego ducha, energii, rutyna i nieuniknione przy tych warunkach sknerstwo. Dla przekonania się o tem weźmy n. p. Prussy i obecne prusskie prawo prassowe,—prawo koncessyi na wydawnictwo gazet i dzienników zniesione, dozwolona wolna konkurencya, słowem każdy może wydawać gazetę lub dziennik, wymaga się tylko pewnej formalności—mianowicie zawiadomienia policyi o zamiarze wydawania gazety, zastrzeżenia nie istnieją więcej. Jeśli gazeta lub dziennik dopuszczą się przekroczenia, wtedy policya aresztuje numer, lecz powinna niezwłocznie przedstawić go sądowi, który ma prawo pociągnąć tylko osobę redaktora do odpowiedzialności, a gazeta nie przestaje wychodzić.

Cóż więc stoi na przeszkodzie dziennikarstwu do należytego rozwinięcia się? Brak wszelkiej przedsiębierczości i zoprowadzenie brudnej ekonomii. Który z niemieckich wydawców, albo jakie towarzystwo na akcyach, zdecydowało by się na podobne ryzyko jak „Daily News" podczas ostatniej wojny? Gazeta znajdowała się już prawie w upadku, nie zważając na to, wydawcy ryzykują powtórnie, wkładają kapitał, nie szczędzą pracy i nie tracą odwagi, rezultat jest wiadomy czytelnikowi. W niemieckich redakcyach i biurach, z prawdziwą przyjemnością wspominają owe czasy, kiedy wydawano gazetę za cenę o połowę mniejszą od cen dzisiejszych, a przytem zysiwkało się na rozgłosie i majątki robiono.

CHANCELLOR.

NOTATKI PODRÓŻNEGO J. R. KAZALLON

przez

Juliusza Verne.

(Dalszy ciąg).

XV.

W nocy dnia 29 października (ciąg dalszy)

Nie ma jeszcze północy, ciemność najzupełniejsza rozpostarła się na około, nie wiemy w którym miejscu okręt osiadł na mieliznie. Czy gwałtownie popychany uraganem doleciał do brzegów Ameryki, którą jutro może ujrzymy?. W kilka chwil po utknięciu Chancellora szczęk łańcuchów na przodzie okrętu dał poznać Kurtisowi że zarzucono kotwicę.

—Dobrze, dobrze, zawołał, porucznik i bosman spuścili obie kotwice, mam nadzieję że nas utrzymają.

Raptem spostrzegam, że Kurtis zbliża się do balustrady, aż do granicy zakreślonej przez płomienie. Wychylił się za parapet i nachylony słuchał przez kilka minut czegoś uważnie pomimo huku fali. Można sądzić że śledzi uchem jakiś niezwyczajny szmer. Nareszcie powrócił na werendę.

—Woda wchodzi do okrętu, zawołał, a woda ta jeśli nam Bóg dopomoże, da sobie radę z pożarem.

— A później, rzekłem....

—Panie Kazallon, później jestto przyszłość, która jest w ręku Boga. Myślmy tylko o teraźniejszości.

Należałoby w tej chwili przystąpić do sondowania przy pompach, w pośród płomieni jednak nie podobna do nich dostąpić. Widocznie kilka desek złamanych przepuszcza w głąb' okrętu masę wody, i zdaje mi się, że gwałtowność ognia już się zmniejszyła. Słychać przerażający świst, spowodowany walką dwóch żywiołów. Widocznie woda dosięgła podstawy ognia, zatapiając spodnie warstwy bawełny. Tem lepiej, niech ugasi pożar, my sobie z nią damy radę. Woda to żywioł marynarza. on umie z nią walczyć i zwyciężać.

Trudno opisać niespokojność w jakiej pozostawaliśmy przez trzy godziny tej nocy, która nam się wiekiem wydawała.

Gdzie jesteśmy? widocznie woda opada i ogień się zmniejsza. Chancellor więc uwiązł na mieliznie, w godzinę po największym przypływie, bez rachunku jednak i obserwacyi na pewno nic wiedzieć nie możemy. Spodziewam się jednak że w razie ugaszenia ognia przy najpierwszym przypływie odpłyniemy dalej. O wpół do piątej rano zgasła zasłona ogniowa rozdzielająca okręt na dwie połowy, i spostrzegliśmy gruppę ludzi schronionych na wązkim przodzie. Wkrótce potem przywrócono komunikacyę pomiędzy kończynami okrętu. Porucznik i bosman przeszli do nas po krawędzi, bo na pokład stąpić jeszcze nie można. Uradziliśmy z oficerami że przed ednie m nic działać nie można. Jeżeli jesteśmy blisko ziemi i morze na to pozwoli, dopłyniemy do lądu na łódce lub na tratwie. Jeżeli zaś nie będzie widać ziemi, jeżeli Chancellor osiadł na samotnej skale, postaramy się go naprawić ażeby dopłynąć do najbliższego brzegu.

—Jednakże, powiedział Robert Kurtis, na co porucznik i bosman zupełnie się zgodzili, trudno jest oznaczyć gdzie jesteśmy, bo wiatr północno-zachodni musiał nas daleko odpędzić popychając Chancellora na południe. Oddawna już nie mogłem brać wysokości a że w tej stronie Atlantyku nie znamy żadnych skał, prawdopodobnie więc uwięźliśmy przy brzegu Ameryki południowej.

—Tak, powiedziałem, ale jesteśmy ciągle zagrożeni przez eksplozyę, czy nie możemy opuścić Chancellora i uciec.

— Czy na tę rafę, odpowiedział Kurtis. Ależ jak ona wygląda, czy morze jej nie zalewa? czy możemy rozpoznać się w tej ciemności? Niech dzień nadejdzie, a zobaczymy.

Powtórzyłem te słowa kapitana innym pasażerom. Nie są one zupełnie zaspakajające, jednak nikt nie przypuszcza, że nowe nieszczęście rozbicia się w środku oceanu, o setkę mil od lądu może zagrażać okrętowi. Uwaga wszystkich zwróconą jest na wodę zalewającą pożar, a tem samem i usuwającą możliwość eksplozyi.

W istocie, zamiast płomieni coraz więcej dymu wydobywa się z klapy. Strumienie ognia ukazujące się niekiedy, gasną natychmiast. Po trzasku ognia, nastąpił świst zamieniającej się w parę wody. Morze więc to spełnia, czego ani pompy, ani sikawki nie zdołałyby zrobić.

Na ugaszenie pożaru tlejącego w pośród tysiąca siedmiuset pak bawełny, potrzeba było nic więcej, jak tylko zalewu.

XVI.

30 października. Pierwszy brzask jutrzenki rozjaśnił niebo, ale mgła ogranicza dotąd widnokrąg naszego widzenia, do ścieśnionej bardzo przestrzeni.

Nie widać nigdzie ziemi, pomimo że oczy nasze z niecierpliwością przebiegają południową i zachodnią część oceanu.

Morze ustąpiło zupełnie, i na około okrętu biorącego w pełnym ładunku 15 stóp, jest zaledwie 6 stóp wody. Gdzieniegdzie widać szczyty skał bazaltowych. Jakim sposobem Chancellor wpadł na te rafy? Widocznie olbrzymi bałwan uniósł go, jak to nawet uczułem na chwilę przed uwięźnięciem.

Po zbadaniu otaczających nas skał, daremnie chcę wynaleść sposób wyjścia z pomiędzy nich.

Chancellor jest silnie pochylony ku przodowi, co utrudnia chodzenie na pokładzie, nadto przy odpływie morza coraz więcej poddaje się na lewy bok, i to do tego stopnia, że Kurtis zaczął być niespokojnym, jednak po niejakim czasie, położenie wzmocniło się tak, iż nie mamy się czego lękać.

Około szóstej, usłyszeliśmy gwałtowne uderzenie. Tylny maszt złamany przypłynął bijąc w bok okrętu. Jednocześnie rozległy się krzyki w których powtórzono kilkakrotnie nazwisko Roberta Kurtis.

Biegniemy w stronę skąd słychać krzyk i przy półświetle poranku, ujrzeliśmy człowieka uczepionego przy bocianiem gnieździe.

To Silas Huntly, którego pociągnął w mo-

rze złamany maszt, powrócił do okrętu cudownie ocalony od śmierci.

Robert Kurtis rzucił się na ratunek dawnego zwierzchnika, i pomimo tysiącznych niebezpieczeństw wydobył go na okręt.

Silas Huntly nie rzekłszy ani słowa, usiadł w najodleglejszym zakątku.

Ten człowiek to najzupełniej bierna istota, nie wchodzi zupełnie w rachunek.

Pochwycony maszt silnie przytwierdzono do okrętu, ten szczątek może przydać się kiedy na co. Rozwidniło się zupełnie i mgła ustąpiła. Wzrok nasz może przebiedz cały widnokrąg; na trzy mile jednak w około, nie widać nic podobnego do brzegów.

Skały rozciągają się od południo-zachodu ku północo-wschodowi przeszło milę. Na północ widać rodzaj wyspy nieregularnie zakreślonej. Jest to jakieś przypadkowe nagromadzenie skał, odległe o jakie dwieście stóp od Chancellora, i wzniesione na 50 stóp.

Niewątpliwie więc, w czasie największego nawet przypływu woda go nie zalewa. Wązki pasek przy odpływie pozwoli nam dojść do wysepki, jeżeli okaże się tego potrzeba. Na zewnątrz, morze ma ciemną barwę, tam kończą się skały i zaczyna głębia.

Głębokie zwątpienie, spowodowane położeniem okrętu ogarnęło wszystkich; obawiamy się że te skały nie przylegają do żadnego lądu. W tej chwili dzień już jasny zupełnie, na około nic nie widać, linia wody i linia nieba zlewają się wszędzie, morze zajmuje całą przestrzeń. Robert Kurtis, nieruchomy, obserwuje ocean, szczególniej w części zachodniej.

Ja i Letourneur stojąc w bliskości, śledzimy najdrobniejsze jego ruchy, każde drgnięcie muskułów twarzy, zdradzające pracę duchową. Zadziwienie jego nie ma granic, sądził, że pędząc od czasu objęcia statku na południe zbliżył się ku lądowi, teraz zaś nawet śladu ziemi nie widać w bliskości.

Zaraz potem Robert zszedł z wystawki, przebiegł po balustradzie aż do przedniego masztu, uchwycił się drabiny sznurowej i wdrapał się na sam szczyt masztu, gdzie zawieszony na beleczce, przez kilka minut badał widnokrąg z największą uwagą, potem spuścił się powoli na pokład i wrócił do nas.

Zapytujemy go wzrokiem.

— Nie ma wcale ziemi! odpowiedział z całą spokojnością.

Pan Kear zbliża się i zagniewanym głosem pyta:

— Gdzie jesteśmy, panie kapitanie?

— Dotąd, nie wiem jeszcze.

— Pan powinieneś wiedzieć, głupio odezwał się nafciarz.

— Niech i tak będzie, ale nie wiem!

— Otóż ja panu mówię, rozumiesz pan, że nie myślę wiekować na pańskim okręcie, i wzywam pana żebyś natychmiast odpłynął.

Robert Kurtis poprzestał na ruszeniu ramionami. Potem zwracając się do pana Letourneur i do mnie, rzekł:

— Wezmę wysokość jak tylko słońce się ukaże, a wtedy dowiemy się, na który punkt Atlantyku burza nas poniosła.

Kurtis rozdał żywność pasażerom i załodze. Potrzebowaliśmy jej rzeczywiście, wycieńczeni od głodu i trudów. Każdy więc ze smakiem zjadł podany kawałek suchara i suszonego mięsa. Potem rozpoczęto przygotowawcze działania, do spuszczenia napowrót Chancellora na morze.

Pożar bardzo się zmniejszył, tak, że nie tylko płomienia wcale nie widać, ale i dym chociaż jeszcze czarny, rzednieje stopniowo.

Nie ulega kwestyi, że Chancellor ma w głębi masę wody, przekonać się o tem jednak trudno z powodu rozgrzania desek pokładu.

Wrócono więc do pomp, a w dwie godziny pokład ochłodzony dał możność rozpocząć sądowanie, do którego przystąpili majtkowie pod kierunkiem bosmana.

Okazało się, że na dnie jest 5 stóp wody, której kapitan nie każe wyrzucać, zanim nie dopełni swojego zadania to jest ugaszenia pożaru. Najprzód ogień, później woda.

A może lepiej byłoby opuścić okręt i schronić się na rafy. Oficerowie słuchać o tem nie chcą, bo i rzeczywiście przy wzburzonym morzu, wysokie bałwany oblewają te skały, nie pozwalając utrzymać się na nich.

Prawdopodobieństwo wybuchu także obecnie zmniejszyło się; woda zapewne zalała część, w której były bagaże Rubego, a z niemi i pudełko pikratu.

Na tyle okrętu urządzili rodzaj koczowiska, oddając pozostałe materace na usługi pasażerek. Załoga, która uratowała także swoje worki z rzeczami, umieściła się na przodzie statku i tam pozostanie, bo koszary są zupełnie zniszczone.

Szczęściem spiżarnia mało ucierpiała, większa część żywności i wody, wcale jest nie uszkodzona.

Skład zapasowych żagli także nietknięty.

Zdaje się, że próby, które przechodziliśmy, skończyły się nareszcie.

Wiatr złagodniał i pełne morze znacznie się uspokoiło, z czego wszyscy się cieszymy, bo w przeciwnym razie bałwany zagrażałyby w każdej chwili zmiażdżeniem Chancellora na tym twardym bazalcie.

Pp. Letourneur, wiele rozmawiali ze mną o zachowaniu się oficerów i załogi w niebezpiecznych chwilach.

Wszyscy okazali odwagę i energię. Walter, bosman i cieśla Daoulas najwięcej się odznaczyli. Są to dzielni marynarze i zacni ludzie na których liczyć można. Co do Roberta Kurtis, nie mamy dość słów na jego pochwałę.

W każdej chwili jest wszędzie, dodaje ducha, przykładem zachęca, największe trudności łamie wiedzą i pracą, krótko mówiąc, stał się duszą ślepo mu wierzącej załogi.

Od siódmej rano morze ciągle przybiera. Teraz o 11-ej wierzchołki skał woda zakryła. W miarę wznoszenia się poziomu morza, spód coraz więcej się zalewa zatapiając nowe warstwy bawełny, czego powinszować sobie możemy. Na około nas widać tylko krawędzie basenu okrągłego, do dwustu pięćdziesięciu stóp mającego obwodu.

Chancellor zajął jego kąt północny.

Morze w basenie jest zupełnie spokojne, bałwany nie dochodzą do okrętu, co także nam sprzyja, w przeciwnym razie uderzałyby na statek jak na skałę.

O wpół do dwunastej jak na zawołanie, chmury rozsunęły się i słońce zajaśniało w całym blasku.

Kapitan który rano zanotował jeden kąt, obecnie wziął wysokość południka, robiąc bardzo dokładne obserwacye.

Potem zszedł do kajuty, obrachował punkta i wrócił na wystawkę, gdzie nie tylko nic nie ukrywając, ale przeciwnie chcąc wtajemniczyć w każdy szczegół tak pasażerów jak i załogę, rzekł do nas:

— Chancellor uwiązł na 18° 5′ szerokości północnej, a 45°53′ długości zachodniej, na skale, która dotąd na mappie nie była oznaczona. Jakim sposobem tak potężne rafy, mogą egzystować na oceanie bez oznaczenia na planach, nie rozumiem...

Czyżby ta wyspa powstała w skutek zupełnie świeżego wybuchu wulkanicznego? Inaczej trudno sobie wytłómaczyć.

Bądź co bądź—odległość wyspy od najbliższego lądu to jest od Gujanny wynosi 800 mil, jak to dowodzi oznaczony punkt na planach.

Chancellor został więc popchnięty na południe aż do 18 równoleżnika, najprzód przez bezmyślny upór kapitana Huntly, następnie zaś przez uragan, który zmusił nas do ucieczki.

Skutkiem tego Chancellor musi przepłynąć 800 mil, ażeby dosięgnąć najbliższego lądu.

Oto jest nasze położenie. Ciężkie bez wątpienia, a jednak wyjaśnione przez Kurtisa nie zdawało nam się groźnem, przynajmniej na teraz.

Jakież nowe niebezpieczeństwa mogą dorównać tem, które dotąd przebyliśmy, dorównać pożarowi i eksplozyi. Zapominamy o tem, że statek jest zalany wodą, że ląd daleko, że Chancellor może zatonąć w drodze... Umysły są pod wrażeniem przeszłości i z odrobiną spokoju już powraca do nich i ufność.

Robert Kurtis dopełni wszystkiego, co nakazuje zdrowy rozsądek; najprzód zagasi pożar, następnie wyrzuci w morze część ładunku, nie zapominając o pudełku z pikratem, potem zatka dziurę w okręcie, który ulżony wymknie się z tych skał przy którymkolwiek przypływie morza.

XVII.

30 października (ciąg dalszy). Rozmawiałem długo z p. Letourneur chcąc go przekonać o tem, że pobyt nasz na tych rafach, nie może się długo przeciągnąć.

— Przeciwnie, wątpię ażebyśmy tak prędko stąd się wydobyli.

— Dla czego, panie Letourneur. Wyrzucić kilkaset pak bawełny w morze, nie jest zbyt trudną rzeczą, w dwa dni załatwimy się z tą robotą.

— No tak, panie Kazallon, można byłoby to zrobić bardzo prędko, gdyby tylko dziś majtkowie potrafili zejść na spód, co jak pan wiesz jest niemożliwem z powodu zepsutego powietrza, i wiele dni może jeszcze upłynąć zanim zdołamy tam się dostać, tembardziej że górne warstwy bawełny palą się ciągle. Zresztą po opanowaniu ognia, nie możemy natychmiast odpływać. Najprzód należy sporządzić otwór wybity w okręcie, i to sporządzić go z całą ostrożnością, jeżeli uniknąwszy spalenia, nie chcemy utonąć!

Nie, panie Kazallon, łudzić się nie można, i uważałbym się za najszczęśliwszego, jeżeli za trzy tygodnie opuścimy te rafy. Daj Boże tylko, żeby jaka burza nie zerwała się, zanim stąd odbijemy, albowiem Chancellor musiałby rozbić się jak szklanka, i te skały grobem naszym mogłyby stać się!

I rzeczywiście to jest największe z niebezpieczeństw, które nam zagrażają. Pożar ugasimy, statek spuścimy na morze, przynajmniej tak sądzę; ale oprócz tego jesteśmy na łasce losu silniejszego wiatru. Przypuszczając, że najwyższa część wysepki da nam schronienie na czas burzy, co stanie się z nami w razie rozbicia na kawałki Chancellora?

— Powiedz mi panie Letourneur, czy masz zaufanie do Roberta Kurtis.

— Najzupełniejsze, i uważam to jako łaskę boską, że Huntly zdał na niego dowództwo okrętu. Jestem pewnym, że wszystkiego co można będzie dokonać dla wyratowania nas, Kurtis z pewnością dokona.

Zapytałem kapitana jak długo spodziewa się pozostawać na tej skale, na co mi odpowiedział, że będzie to zależyć od okoliczności sprzyjających, co do pogody zaś, ta nie zdaje się nam zagrażać.

Barometr wznosi się bez żadnych oscylacyj, jakie zdarzają się w razie nieuspokojenia dolnych warstw powietrza. Ta przepowiednia szczęśliwie wróży o naszych dalszych staraniach.

Nie tracąc ani jednej chwili, każdy zajął się wyznaczoną sobie pracą.

Przedewszystkiem Robert Kurtis zajął się ugaszeniem pożaru do reszty; po nad poziomem, do którego woda dosięgła, paki w najlepsze się palą. O wyratowaniu ładunku nie ma zupełnie co myśleć. Potrzeba więc zadusić ogień pomiędzy dwiema wodami. Pompy zaczynają grać na nowo.

Przy pierwszych pracach załoga wystarcza na obsłużenie pomp obywając się bez pomocy pasażerów, gotowych zresztą w każdej chwili. Może być, że nas wezwą do wyrzucania pak z bawełną.

Zanim to nastąpi, chodzimy rozmawiając z p. Letourneur, czytamy, zresztą ja codzień przez kilka godzin piszę ten dziennik.

Inżenier Falsten, nie lubiący wchodzić w bliższe stosunki z nikim, zajmuje się cały dzień rachunkami lub kreśli wzory machin z przecięciami, planami i elewacyą. Jakby to było dobrze, żeby on wynalazł jaki przyrząd do wydobycia się stąd Chancellora!

Co do panów Kear, ci zawsze na uboczu, oszczędzają nam nudnego słuchania wiecznych żażaleń; szkoda tylko, że panna Herbey przez to nie może przyjść do nas, tak, że wcale prawie jej nie widujemy.

Silas Huntly, nie miesza się do niczego, co jakikolwiek bądź związek ma z okrętem. Marynarz przestał w nim żyć, człowiek zaś wegetuje zaledwie.

Hobbart gospodarz statku, pełni swoje obowiązki jak gdyby nic szczególnego nie zaszło. Ten Hobbart jest to lizus, fałszywy i wiecznie żyjący w niezgodzie z kucharzem Jynxtrop, murzynem z obrzydłą twarzą, ordynaryjnym impertynentem, mającym wieczne konszachty z majtkami.

Rozrywek zatem na pokładzie zbyt wiele nie ma. Na szczęście przyszła mi do głowy myśl obejrzenia wyspy, przy której Chancellor uwiązł. Nie będzie to ani zbyt długa, ani też urozmaicona wyprawa, w każdym razie na kilka godzin opuścimy okręt i zbadamy grunt zagadkowego pochodzenia. Oprócz tego należy wnieść na plany figurę tej wyspy z całą starannością. Nie wątpię, że panowie Letourneur wraz ze mną zdołają dokonać tej pracy hydrograficznej, pozostawiając uzupełnienie Kurtisowi po nowem obliczeniu rzędnych, z możliwą dokładnością.

Pp. Letourneur przyjęli ten projekt, i łódka z linkami do sondowania została nam oddaną, nadto jeden z majtków odkomenderowany dla popłynięcia z nami.

31 października rano odpłynęliśmy z Chancellora. d. c. n.

ŚLADY ŻYCIA.

Tyle życia ile... w czynie.

X.

Zwykłym u nas rzeczy biegiem, nową myśl każdą najprzód z zapałem wałkujemy wspólnemi siłami, po pewnym jednak przeciągu czasu jak dzieci rzucamy jedno bawidełko ażeby pochwycić drugie, ale koniecznie takie którem się już kto inny zajął.

Wieleż to najpoczciwszych chęci w ten sposób idzie na marne. Wieleż pożytecznych rzeczy można już było stworzyć przy większej wytrwałości prasy. Częstokroć trudno wytłómaczyć sobie dla czego jaką kwestyę podniosło dziennikarstwo, kiedy niewytrzymaniem do końca mogło jej tylko szkodę przynieść. Zdaje się prawie, że pozostał tylko jeden krok a już myśl stałaby się czynem, my tego kroku nie robimy, ale przeciwnie odbiegamy w tył ażeby po innej ścieżce pędzić.

Za przykład może posłużyć kwestya corocznych koncertów i balów na rzecz niezamożnych studentów uniwersytetu. Przed trzema laty podniesiono kwestyę zwrotu udzielanych zasiłków. Zapisano wtedy wiele za i przeciw i rzecz pozostała w tych samych warunkach bez żadnej zmiany, jak gdyby nic do zrobienia nie pozostawało. A jednak powinniśmy całemi siłami dążyć do tego ażeby pieniądze składane przez ogół nie przepadały.

Od lat 12-tu z corocznie dawanych na ten cel balów i koncertów, rozdzielono wsparć przeszło 30 tysięcy rubli.

Suma ta jest sumiennie użytą na pokrycie wpisu, lub na zapomogę niezamożnej młodzieży z której wielu dobiło się dziś bardzo poważnych stanowisk w medycynie i sądownictwie szczególniej. Tajemnica imion osób wsparcie pobierających, pozostaje między zarządem uniwersytetu i interesowanemi, na co w zupełności zgadzamy się, szanując biedę cudzą i nie żądając jej demaskowania. Zasiłek ten jednak powinien być udzielanym tylko jako pożyczka nie jako darowizna.

Ale czy który z tych panów pomyślał o tem, że wsparcie udzielone mu jako studentowi, z obowiązków sumienia powinien zwrócić po wywalczeniu sobie dobrobytu, a często i majątku. Nie.

Otóż proponujemy, ażeby w bieżącym roku zarząd uniwersytetu, wezwał pierwszą seryę to jest wspartych zasiłkiem pieniężnym w roku 1864, do zwrotu udzielonych pożyczek, w jakiej bądź formie wydanych, także bez wymiany osób, pod zagrożeniem wymienienia z nazwiska ociągających się ze zwrotem. Wszak dla tych panów średnio biorąc, upłynęło już po lat dziesięć od czasu wyjścia z uniwersytetu, to jest aż nadto czasu do zdobycia niezależnego stanowiska.

Kto nie potrafił się przebić naprzód przez lat dziesięć w tak szczęśliwych czasach dla sądownictwa szczególniej jak okres ubiegły, nie zasługiwał widocznie na poparcie ogółu, bo albo brak mu chęci do pracy, albo też nie ma odpowiednich zdolności do zawodu przedsiębranego.

Pod grozą publikacyi, wielu z tych dziś pospieszą zwrócić pożyczkę, którą chcielibyśmy widzieć obróconą na kapitał żelazny do dyspozycyi uniwersytetu. Termin zwrotu może być oznaczony na pół roku. Jakakolwiek bądź cząstka w ten sposób będzie odzyskaną dla potrzebującej wsparcia młodzieży, już będzie korzyść po którą sięgnąć warto, tem bardziej, że z tak małym trudem połączy się staranie o nią.

Szczegółowe cyfry corocznych bilansów podamy w jednym z najbliższych numerów, obecnie poruszamy tylko rzecz samą, w tem przekonaniu, że ogół który tak chętnie biegnie z datkiem dla potrzebujących prawdziwie, z przyjemnością zobaczy po pewnym czasie skupiające się te drobne sumki w kapitał znaczny, dający możność otwarcia karyery, niejednemu z prawdziwie potrzebujących.

* * *

Komedya, którą p. t. „Le mari dans du coton,“ trupa francuska grywa po kilka razy na tydzień, została przyjętą do teatru warszawskiego, gdzie p. Szymanowski i p. Popielówna nie wątpliwie zrobią z niej jedną z perełek repertuaru.

Odznacza się ona werwą i humorem, jakie w bardzo niewielu komedyach spotykaliśmy.

Pismo nasze zamieszcza ją pod tytułem „Piękne za nadobne,“ ale w zupełnie innem tłómaczeniu.

* * *

Posiedzenie stowarzyszenia giełdowego wywołało jak zwykle oburzenie reporterów, których nie chcą puszczać do sali mówiąc, że to jest: *geschlosene geselschaft.* Niewiedzieć po co tym reporterom przychodzi do głowy mieszać się do giełdowiczów, kiedy oni się do pism nie mieszają wcale. Czy któremu z bankierów przyjdzie do głowy pchać się na posiedzenie jakiej redakcyi; naturalnie, że nie, bo są to wszystko ludzie dobrze wychowani, z tą uprzejmością i z tym wykształceniem wyższem, jakie rubel daje, i potrafią szanować sekrety cudze. Zresztą, dla wielu naszych giełdziarzy kwestya języka polskiego jest szkopułem o który wiele rzeczy rozbija się.

W korespondencyi pomiędzy sobą używają języka niemieckiego, w kantorze mówią, w księgach handlowych piszą wyłącznie po niemiecku, więc naturalnie i na posiedzeniu gdyby reporterów nie było, używano by języka którym lepiej każdy z tych panów mówi, a może wtedy mówki niemieckie lepiej by udawały się niż polskie, możeby kwestya giełdy zbożowej była poruszoną i załatwioną, może kwestya włączenia Warszawy do handlu międzynarodowego, na pewnoby w czyn przeszła, żeby można o nich pomówić i na posiedzeniu z całą swobodą jakiej polska mowa nie daje.

Jeżeli więc wszystkie nadzieje o których wspomina w „Wieku" pan J. spełzły na niczem, to wina wyłącznie reporterów, że mieszają się w nie swoje rzeczy, nie zaś komitetu, który przecież nie składał przysięgi na to, że będzie cokolwiek robił, a więc wolno mu nie robić nic.

Co do przeniesienia się do Resursy obywatelskiej, to bardzo wątpić należy ażeby komitet Resursy zgodził się na pomieszczenie w salach swoich giełdy. Byłoby to ostatnim ciosem dla gmachu, boć większość uczęszczających na giełdę, są to niewątpliwie ludzie mający bardzo a bardzo czyste sumienia, ale o butach i stroju powiedzieć tego nie można, po całorocznem więc ich choćby dwugodzinnem przebywaniu salony będą zrujnowane nie do poznania, tak że odrestaurowanie następne szczególniej schodów i podłogi, z pewnością będzie daleko więcej kosztować niżeli wyniesie czynsz jednoroczny. Krakowskie-przedmieście także ładnie wyglądać będzie zasypane przez tłumy pokątnych wekslarzy, stanowiących kulisy giełdowe; przyczyni się to wprawdzie wiele do upiększenia tej części miasta, która dotąd zbyteczną jednostajnością kostiumów i fizyognomij grzeszyła i nada skwerowi i ulicy ten wyraz życia i elegancyi, jaką odznacza się dziś plac bankowy, ale szczerze mówiąc pragnęlibyśmy ażeby zarząd miasta uchronił nas od tej estetyki. Komitet Resursy zaś niech lepiej porozumie się z Tow. Muzycznem, o wynajęcie sali kiedy już tak koniecznie wynajmować ją potrzebuje.

* * *

We wszystkich prawie gałęziach naszego przemysłu, kulturtregery przeważnie zajmują stanowisko, tak iż krajowcowi, choćby rzeczywiste posiadał uzdolnienie i naukę trudno zdobyć sobie miejsce nieco wyższe od prostego robotnika. Rzecz to wiadoma, a smutne okoliczności aż nadto nas o tem przekonywają. Jedno szewctwo tylko w rękach krajowców zostaje i pomimo dziwnego uprzedzenia do tego rzemiosła wydało niepoślednich majstrów, którzy wyrobom warszawskim na wszystkich prawie wystawach poczesne uznanie zjednali. Pomimo tego postęp tu niewielki, a wyroby drogie... i często fuszerowane. Przyczyn tego na teraz badać nie myślimy, gdyżby to nas za daleko zaprowadziło, trzebaby zawadzić o garbarstwo i o ustrój naszych odosobnionych warsztatów szewckich; natomiast notujemy z przyjemnością, iż pan B. jasno rzecz pojmujący założył w tych czasach warsztat szewckich wyrobów i prowadzi go na sposób fabryczny. Materyał hurtownie kupowany, a więc tańszy, odrobienie dokonane przez zdolnych pracowników (zwanych czeladnikami?!), musiały na całą produkcyą korzystnie wpłynąć, to też się nie dziwimy, że dobroć, elegancya i taniość rzeczywista odznacza wychodzące ztąd wyroby.

BIBLIOTECZKA DOMOWA.

W. Hoffman. *Stopnie wieku w obrazkach i opowiadaniach dla dzieci*, spolszczył Józef Chmielowski. Kraków. Nakładem Juliusza Wildta, 1876 r. 16-ka str. 66, cena kop. 22½.

Autor dzieli życie ludzkie na stopnie wieku. Każdy dziesiątek lat stanowi pewną stacyę na drodze życia; po upływie każdego można spojrzeć w przeszłość i przypomnieć sobie upłynione chwile. I jak w podróży od stacyi do stacyi okolica się zmienia i częstokroć po ślicznych bogato uposażonych ziemiach, z pięknemi drogami, schludnemi miasteczkami i wioskami, idą puste okolice i dzikie parowy, tak samo zmienia się w podróży życia wszystko przyjemne i miłe na cierpkie i przykre.

Dalej przedstawia autor drogę życia naszego jako niewidzialną drabinę, pomiędzy ziemią i niebem zawieszoną. Wszyscy ludzie stoją na tej drabinie i starają się nie wiedząc nawet o tem, wydostać się na nią. Im wyżej wchodzą tem swobodniejsze jest ich spojrzenie, coraz więcej dziwów i cudów ukazuje się oczom ich. Wyżej idąc, należy zwracać oblicze po nad siebie w górę, ponieważ wtenczas tylko ujrzeć można, co jest dobrem, pięknem. Gdy jednak spojrzymy do głębi, to zoczymy złe i upadek.

Tak alegoryczną myśl pragnie autor wyrazić w szeregu obrazów i opowiadań, mających przedstawić różne stopnie wieku ludzkiego. Przewodnia ta myśl jednakże niezbyt jasno się uwydatnia. Prócz tego obrazki są dosyć nudne i zbyt moralizujące. Prawdziwie doniosłych pierwiastków etyczno-pedagogicznych również niewiele tu napotykamy. Autor moralizuje, albo stawia doraźne fakty, bez motywujących sytuacyj. W obrazku „Ochocze dzieci" np. młodzi czytelnicy dowiadują się, że Anielcia i Bogusławek byli dziećmi majętnych rodziców. Gdy skończyli rok szósty, chodzili oboje do szkółki wiejskiej. Anielcia czyniła to z największą chęcią, Bogusławka musiano do tego surowo nakłaniać. Kilkanaście wierszy niżej mówi autor, że leniuch Bogusławek wyrosł na leniucha, gdy przeciwnie siostra jego „nadobną stała się dziewicą." I na tem zapewnieniu kończy się cały obrazek. Bardzo dobrym za to jest ustęp „O małym wiercipięcie," gdzie widzimy żywy i dramatyczny obrazek z którego dziecko dowiaduje się o skutkach nierozwagi i popędliwości dziecięcej a następnie widzi żal i poprawę małego grzesznika na widok nieszczęścia, którego stał się przyczyną.

Z MIASTA, KRAJU I ŚWIATA.

— Londyn. Kradzieże i przemiany. Wpryzkim teatrze Rozmaitości występuje obecnie aktor Morris. Przychodzi na scenę w czarnym ubiorze i ten w obec widzów pomału przemienia na kostium wieśniaczki, majtka, kokietki, starca i t. p. Ten otóż pan Morris znalazł w tych czasach w Londynie bardzo niebezpiecznego konkurenta, aczkolwiek ostatni w zupełnie innej gałęzi sztuki swą biegłość praktykuje. Od niejakiego czasu jubilerzy głównie i bankierzy Londynu oszukiwani byli przez jakiegoś franta, który z niesłychaną śmiałością i zgrabnością, brał się do swego dzieła. Przychodzi np. do sklepu stary na pozór wielki i znakomity pan z siwą brodą, i życzy sobie, aby mu pokazano garnitur brylantowy, bo chce swej żonie w dniu jej urodzin dać coś ładnego na prezent. Pokazują garnitur, pan go dokładnie ogląda, i naraz w gwałtownym skoku czmycha ze sklepu. Subiekci za nim, ale stary gdzieś przepadł a przed wystawą sklepową oprócz jakiej młodej panienki wpatrującej się ciekawie w klejnoty, więcej nikogo nie ma w blizkości. Inną razą wchodzi do kantoru weksl u bogato ubrany służący, i prosi o wymianę większego banknotu dla swego pana. Zaledwie pieniądze położono przed nim na stole, zgarnął je wraz z banknotem i uciekł. Kilku policyantów ściga go aż do najbliższego rogu ulicy, lecz tam służący ginie im z oczu a znajduje się jakiś tylko pijany majtek, oświadczający iż żadnego nie widział służącego. Kradzieże te w przeciągu kilku miesięcy doszły do pokaźnej bardzo cyfry a nikomu nieudało się ani razu pochwycić ich sprawcy. Zrozpaczona policya myślała, że ma do czynienia że złemi duchami, dopóki się nie zdarzyło co następuje: Pewnego dnia jakiś kupiec bogaty wcześniej jak zwykle powrócił do domu i zastał drzwi swe wyłamane. Wymknął się niespostrzeżony co prędzej, sprowadził kilku policmenów, z których dwóch przed bramą domu trzymało straż. Kupiec i pozostali agenci zaskoczyli teraz w jednym z pokojów złodzieja zajętego około biórka. Agenci rzucili się nań, lecz udało mu się umknąć; pobiegł na wschody i wpadł prędko do innego pokoju. Agenci sunęli za nim, lecz w pokoju nie można było zoczyć najmniejszego śladu złodzieja, stary tylko i ułomny człowieczek jakiś leżał w łóżku i spytał płaczliwym głosem, z jakiej racyi naruszają niesprawiedliwie jego spokój domowy. Jednakże tą razą agenci nie dali się złudzić: zważywszy, iż ten pokój żadnego innego nie miał wyjścia jak tylko drzwi, któremi weszli, agenci tedy rzucili się na chorego, który po każdem dotknięciu się doń agentów boleśnie zawrzasnął, i zaprzysiągł jakoby niemógł się poruszać z miejsca. W tem odrazu jednemu z agentów, podczas jak podniósł chorego, ręka przylgnęła do pasa, którym tenże brzuch miał opasany; zaciągnął i patrzy: chory przemienił się na ślicznego żołnierza. Tem więc tajemnica śmiałego złodzieja wykrytą została, który widząc się schwyconym, zupełne złożył zeznanie. Jest on amerykaninem i nazywa się James Western.

OGŁOSZENIA.

Дозволено Цензурою. Варшава 25 Февраля (8 Марта) 1876 г.

W drukarni J. Korzeniewskiego. — Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769a (12 nowy)

Wydawca J. Korzeniewski.

Redaktor Henryk Perzyński.